



Cóż to była za noc

Czyt. na str. 20



80. rocznica lądowania wojsk alianckich w Normandii

6 czerwca br. w 80. rocznicę lądowania wojsk alianckich w Normandii Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Lech Parell wziął udział w uroczystości organizowanej przez Ambasadora Francji przed Pomnikiem 1 Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka w Warszawie.

Uroczystość 80. rocznicy lądowania wojsk alianckich w Normandii, po odegraniu hymnów państwowych, rozpoczęło przemówienie Jego Ekscelencji Étienne de Poncins. Następnie delegacje władz państwowych, wojskowych i

samorządowych oraz przedstawiciele stowarzyszeń złożyły wieńce i wiązanki kwiatów przed Pomnikiem 1 Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka przy pl. Inwalidów w Warszawie.

Na zakończenie obchodów Orkiestra Reprezentacyjna Wojska Polskiego odegrała Sonnerie Aux Morts - tradycyjną francuską melodię wojskową towarzyszącą tego typu uroczystościom oraz minutą ciszy uczczono poległych i zmarłych żołnierzy 1. Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka.

kombatanci.gov.pl

Święto polskich osadników w Argentynie

Czyt. na str. 6



Fot. Z archiwum prof. José Skowron-Posluszna

Wesołych i zdrowych świąt Bożego Narodzenia oraz pomyślności w Nowym Roku życzy wszystkim swoim Czytelnikom redakcja

Tygodnik Polski NR 23
SYDNEY • MELBOURNE • ADELAIDE • CANBERRA • BRISBANE • PERTH • HOBART • NEW ZEALAND

Biegacze oddali hotel powstańcom warszawskim

Pamiętamy 1944
Powstanie Warszawskie
1 sierpnia - 2 października

Sto lat temu powołano Katolicki Uniwersytet Lubelski

Włoski prezydent ws. referendum odrzucony

Miasto i Opór

Pierwszy „Most” i inne...
rocznicę ugrupowań katolickich i ich udziału w historii Polski

— Tygodnik Polski rozpoczął 70. Rok swego istnienia —

75 lat Tygodnika Polskiego

Zapraszamy wszystkich Czytelników i Przyjaciół na

Uroczysty Bankiet

27 lipca br. o godz. 16.00
do Domu Polskiego Albion

Cena kolacji \$75 od osoby
w cenie 4-daniowy posiłek z winem
program artystyczny

Stowarzyszenie im. T. Kościuszki
i Redakcja „Tygodnika Polskiego”

Rezerwacje: Beata
mob. 0410 298 122
Wpłaty do dnia 24 lipca 2024

możliwość zapłaty w barze
Klubu Albion
prosimy o zgłaszanie
wymagań dietetycznych

Melbourne
27 lipca 2024
www.tygodnik-polski.com.au



1949 - 2024

„W TOBIE PANIE ZAUFAM...”

Czyt. na str. 9, 10, 10



Boże Ciało - Marayong 2.06.24

Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Niemieckich Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych i Obozów Zagłady

14 czerwca 1940 roku Niemcy przewiezli do obozu Auschwitz grupę 728 polskich więźniów politycznych. Był to pierwszy masowy transport więźniów do nowo utworzonego niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego, co uznaje się za początek jego działalności.

W 2006 roku Sejm RP oddał hołd pamięci ofiar nazistowskich zbrodni i ustanowił 14 czerwca Narodowym Dniem Pamięci Ofiar Niemieckich Obozów Koncentracyjnych. „Łączymy się w uczuciach ze słowami papieża Benedykta XVI o nauce, która dla przyszłości ludzkości płynie z miejsca, gdzie nienawiść do ludzi doszła do swych najdalszych granic” – napisano w przyjętym dokumencie.

W 2015 roku Sejm, „w imię prawdy historycznej”, nadał świętu nową nazwę: Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Niemieckich Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych i Obozów Zagłady. Izba wezwała również, w ramach uchwały z 2015 r., władze państwowe i samo-

ządowe” do podejmowania inicjatyw upamiętniających ofiary II wojny światowej, w szczególności niemieckich nazistowskich obozów koncentracyjnych i niemieckich nazistowskich obozów zagłady, oraz polski wkład w walkę z niemiecką ideologią narodowego socjalizmu.”

W Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Niemieckich Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych i Obozów Zagłady pod Ścianą Śmierci na terenie Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu Doradca Prezydenta RP Piotr Serafin złożył wieniec od Prezydenta Andrzeja Dudy.

Doradca uczestniczył także w wydarzeniach w innych miejscach pamięci, tj. przy tablicy upamiętniającej przybycie pierwszego transportu do Auschwitz oraz przy pomniku Witolda Pileckiego.

Obchody zostały objęte Patronatem Honorowym Prezydenta RP Andrzeja Dudy.

sejm.gov.pl, prezydent.pl

PiS powoła zespół ds. badania wpływów rosyjskich

Posłowie PiS zapowiedzieli powołanie zespołu ds. badania wpływów rosyjskich. Ma odkłamywać ustalenia rządowej komisji, na czele której stanął szef SKW gen. Jarosław Stróżyk. Zespół PiS ma przyjrzeć się m.in. Ryszardowi Schnepfowi oraz Mirosławowi Różańskiemu.

Na konferencji szef klubu PiS Mariusz Błaszczak określił powołaną przez rząd Donalda Tuska komisję ds. badania wpływów rosyjskich mianem „sądu kapturowego” i „trybunału ludowego”. Przypomniał, że jej szef gen. Jarosław Stróżyk wywodził się z WSI. Podkreślił, że celem komisji będzie oskarżenie środowiska Prawa i Sprawiedliwości, mimo że wcześniej było nazywane środowiskiem „rusofobicznym”.

W obliczu ostatecznej likwidacji komisji ds. badania wpływów rosyjskich powołanej za czasów PiS posłowie tego ugrupowania postanowili powołać swój własny zespół, który będzie odkłamywał ustalenia nowej, rządowej komisji oraz badał rzeczywiste wpływy rosyjskie. Na jego czele stanie Marcin Przydacz, zaś wiceszefem będzie Andrzej Śliwka.

Jak zapowiedział Błaszczak, zespół zajmie się m.in. b. ambasadorem w USA Ryszardem Schnepfem, który jest kandydatem na ambasadora w Rzymie.

Koleiną osobą, której przyjrzeć ma się powołany z inicjatywy PiS zespół jest były Dowódca Generalny Rodzajów Sił Zbrojnych, a obecnie senator Trzeciej Drogi Mirosław Różański. Jak wskazywał Błaszczak, swego czasu krytykował on pomysł stałych baz amerykańskich w Polsce, twierdząc, że jest on „zbyt prowokacyjny wobec Rosji”.

„Jest rzeczą dość oczywistą, że Federacja Rosyjska w 30-letniej historii III RP z pewnością starała się wpływać na rzeczywistość polityczną, społeczną, gospodarczą” – mówił na piątkowej konferencji Marcin Przydacz.

Wśród szczególnie interesujących kwestii dotyczących tej ostaniej sfery poseł wymieniał kontrakty zawierane z rosyjskim Gazpromem.

Andrzej Śliwka wskazywał natomiast, że „komisja powołana przez Donalda Tuska to właściwie sąd we własnej sprawie”. „To są ludzie, którzy powinni się tłumaczyć z tego, dlaczego przez wiele lat w Polsce te wpływy rosyjskie były” – dodawał.

Jak mówił, warto byłoby wyjaśnić m.in., dlaczego do strategicznej z punktu widzenia polskiego bezpieczeństwa grupy Azoty został dopuszczony Władysław Kantor, rosyjski oligarcha powiązany z Władimirem Putinem.

RM

Wiara i tradycja wciąż są dla nas ważne

Większość Polaków jest przeciwna zakazowi eksponowania symboli religijnych w instytucjach publicznych, który proponują politycy liberalnej lewicy. Okazuje się, że nie wbrew oczekiwaniom takich polityków jak Rafał Trzaskowski, Polacy nie chcą zdejmowania krzyży i usuwania szopek. Wiara i tradycja wciąż są dla nas ważne – wynika z badania przeprowadzonego na zlecenie „Super Expressu”.

Z badania przeprowadzonego przez Instytut Badań Pollster na zlecenie „SE” dowiadujemy się, że 47 proc. badanych uważa, iż w Polsce nie powinien zostać

prowadzony zakaz eksponowania symboli religijnych w instytucjach publicznych, takich jak urzędy, szkoły, szpitale. Przeciwnego zdania jest 42 proc. ankietowanych – wynika z sondażu. 11 procent ankietowanych nie ma na ten temat zdania.

Badanie zostało zrealizowane w dniach 5-6 czerwca br. metodą CAWI na próbie 1031 dorosłych Polaków już po zapowiedzi Rafała Trzaskowskiego dotyczącej zdejmowania krzyży w warszawskich urzędach.

stefczyk.info

Zarząd Stowarzyszenia im. T. Kościuszki zwołuje

Nadzwyczajne Walne Zebranie Członków

w sobotę 20 lipca 2027 r. o godz. 14.00

w Polskim Klubie Albion, 19 Carrington Drive.

Celem Zebrania będzie omówienie trudnej sytuacji finansowej Tygodnika Polskiego i jego dalszych losów

Anna Zamecznik – Hon. Sekretarz

Drodzy Czytelnicy

Miło nam Państwa powitać w najnowszym wydaniu „Tygodnika Polskiego”. Jak zawsze znajdują w nim Państwo wiele ciekawych artykułów.

Tematem wiodącym felietonu dr. Marka Baterowicza jest książka p. Jagody Williams „Solidarność. Na antypody z paszportem w jedną stronę”. O publikacji tej pisaliśmy już w nr 11/23 z dnia 22 maja br., jednak dr Baterowicz znacznie rozszerzył temat.

Pani Marianna Łacek OAM poświęciła artykuł procesji Bożego Ciała w Marayong, wydarzeniu, które jest manifestacją polskiej religijności. Artykuł wzbogacają zdjęcia p. Henryka Iglińskiego.

Relację z Balu Debiutantek, który odbył się w Melbourne w dniu 25 maja znajdują Państwo na str. 20.

Jak zawsze polecamy nasze stałe rubryki, w tym artykuły p. Andrzeja Zbiegniewskiego, p. Jerzego Leszczyńskiego, p. Beaty Joanny Przedpeńskiej oraz Kącik literacki pod red. dr Elżbiety Koło

Dziękujemy tym z Państwa, którzy dokonali rezerwacji na bankiet z okazji 75-lecia „Tygodnika Polskiego”. Wiemy, że nie każdy spośród naszych Czytelników może wziąć udział w tym ważnym dla gazety wydarzeniu, jednakże dziękujemy za wszystkie dowody życzliwości z Państwa strony.

Z wyrazami szacunku
Magdalena Jaskulska
z zespołem redakcyjnym

Tygodnik Polski

19 Carrington Drive, Albion Vic 3020

Tel.: (03) 8382 0217, www.tygodnik-polski.com.au

E-mail Biura: strzelecki2@optusnet.com.au

E-mail Redakcji: polishweek@optusnet.com.au

Redaktor naczelna – Magdalena Jaskulska

Redaktor techniczna – Wanda Kozłowski

Koordynator biura – Jagoda Korczak

Stali współpracownicy: Marek Baterowicz, Jerzy Leszczyński, Krzysztof Ligęza, Marianna Łacek, Beata J. Przedpeńska, Janusz Rygielski, Andrzej Siedlecki, Andrzej Zbiegniewski.

Wydawca/Publisher: Strzelecki Holding Pty. Ltd.

ACN 077928477; ABN 30077928477

Uprzejmie informujemy, że opłaty za prenumeratę można wnosić czekiem lub Money order oraz przelewem na rachunek bankowy

Strzelecki Holding Pty Ltd.

Westpac BSB 033-000, Acc. numer 45 22 43.

Nie ma możliwości zapłaty kartą kredytową.

Powyższe dotyczy także opłat za ogłoszenia.

„Tygodnik Polski” ukazuje się co dwa tygodnie.

Biuro „Tygodnika Polskiego”

czynne jest w poniedziałki i piątki od godz. 10.00 do 13.00.

Prenumerata

roczna	półroczna	kwartalna
\$150.00	\$100.00	\$85.00
Azja/Pacyfik (N.Zelandia) \$210.00; reszta świata \$250.00		

Ogłoszenia drobne (do 30 słów) – \$27.50 (inc. GST).

Ogłoszenia większe – koszt za każdy cm wysokości ogłoszenia zależy od szerokości kolumny: 4 cm – \$7.70, 6.2 cm – \$11, 8.4 cm – \$15.40

(inc. GST). Zniżki na ogłoszenia zamieszczone przez kwartał – 15%,

pół roku – 25%, rok – 33%. Książka Telefoniczna „TP” (2 linijki) – \$132

(inc. GST) rocznie.

• Zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów i poprawek w nadsyłanych tekstach • Teksty publikowane na łamach Tygodnika wyrażają prywatne opinie ich autorów i nie muszą być zgodne z opinią redakcji lub wydawcy • Nie ponosimy odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń oraz za jakość reklamowanych towarów i usług • Wszelkie prawa przedrukowane zastrzeżone • Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych.



Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach konkursu Polonia i Polacy za Granicą 2023



Projekt „Polska Platforma Medialna Świat” realizowany przez Fundację Wolność i Demokracja.

NA ANTYPODY Z PASZPORTEM W JEDNĄ STRONĘ

Ukazała się wreszcie książka o działaczach Solidarności, których zsovietyzowany reżim PRL-u wyrzucił za granicę z „wilczym biletem”, czyli z zakazem powrotu do Ojczyzny. Był to wyrok banicji, lecz jakże przewrotny, bo dokonany przez przestępczy reżim zdrajców na patriotach i ludziach prawych, a więc była to kpina z wymiaru sprawiedliwości, zniszczonego już w latach stalinizmu i który nigdy się nie odrodził w „ludowej” republice. PRL, tym „baraku sadystów”, którzy trzymali nieraz za kratami więźniów głodnych i śpiących na betonach, lub w celach z kryminalistami, albo bitych i poniewieranych w miejscach internowania – o czym można przeczytać w niniejszej książce (np. str. 120) wydanej w oficynie toruńskiej Kucharskiego przy współudziale grupy Solidarności z Melbourne i w opracowaniu pani Jagody Williams, także współpracownicy Witolda Łukasika, Zbigniewa Koreywo i Grzegorza Majchrzaka. W przedmowie pani Jagody Williams czytamy, że ludzie tu opisani tworzyli rewolucję Solidarności. Embryonem zaś tej książki była rubryka „Prawdziwych Solidarnościowców” w „Tygodniku Polskim”, prowadzona przez Autorkę i Witolda Łukasika, który był pomysłodawcą owej rubryki. Akcją tę wspierał Adam Gajkowski. Okładka przypomina, że książka ukazuje się w 40-tą rocznicę stanu wojennego, lepiej późno niż wcale. Po latach cierpienia i daremnej walki o wolną Polskę wyjeżdżali z paszportami „w jedną stronę” nie wiedząc być może, że już dawno Dante przedstawił podobny los:

*Nie żmudźcie duszę wydobyć z ciemnoty,
za słońcem idąc w niemieszkane kraje,
Zważcie plemienia waszego przymioty;
Nie przeznaczono wam żyć jak zwierzęta,
Lecz poszukiwać i wiedzy, i cnoty...*
(Piekło, Pieśń 26, 116-120)

I ja podążyłem tym szlakiem, zabierając ze sobą „Boską komedię” i powtarzając powyższe wersy. Z tą różnicą, że nie byłem działaczem Solidarności, a tylko szeregowym jej członkiem przy Związku Literatów Polskich, który też zawieszono w stanie wojennym, a potem rozwiązano, co pominął w doskonałym wstępie pan Majchrzak i także nie wspominał, że tak samo reżim postąpił z Pen-Clubem i ze Związkiem Artystów Plastyków – jak widać PZPR bał się nawet pędzla! A zwykły paszport dano mi

dopiero po czterech latach starań i tylko dlatego, że we Włoszech przyznano mi nagrodę Circe-Sabaudia i urząd paszportów nie mógł wtedy odmówić. Żyliśmy w PRL-u jak przypisani do gleby, zależni od widzimisię ubeków, a paszport był tylko jednorazową przepustką do wolnego świata. Najgorzej było robotnikom, gdyż – wbrew oszukańczym założeniom Marksa – traktowano ich właśnie jak zwierzęta, odmawiając uczciwych pensji, podnosząc ceny mięsa czy cukru, a w razie protestów strzelając do nich na ulicach. Szczytem głupoty i fałszu był marksizm, gdyż okazał się państwowym kapitalizmem, w którym właścicielem i dysponentem kapitału, pensji robotniczych i cen rynkowych był PZPR. A z braku konkurencji i wolnego rynku ustrój był kulawy, korupcja czaiła się wszędzie, zaś mały sektor prywatny – gnębiony podatkami! - nie mógł ocalić gospodarki. Polską wstrząsały więc kolejne kryzysy, które kończyły się protestami społecznymi i strzelaniną. Od Poznania (1956) i tej masakry (wg oficjalnych danych zginęło wtedy 75 osób a 800 było rannych) po rzeź w grudniu 1970 (tylko w Szczecinie reżim zastrzelił 147 osób), a liczba zabitych sięgnęła kilkuset na całym wybrzeżu jak podaje W. Roszkowski (Historia Polski 1914-1990, W-wa PWN str. 305). Zaś Polski Sierpień zaskoczył władzę, gdyż reżim totalitarny nie mógł sobie poradzić z falą strajków w Polsce, a zwłaszcza na Wybrzeżu. Nie dało się ich spacyfikować tak jak manifestacji na ulicach. IV Plenum partyjnych „ciemniaków” (i „wampirów” klasy robotniczej!) przyjęło więc koncepcję politycznego rozwiązania konfliktu. Niemalą rolę odegrał tu zapewne lęk przed autorytetem Jana Pawła II. Rezygnowano z przemocy, ale w tajemniczo PZPR powołał sztab z gen. Jaruzelskim, który miał przygotować plan zdławienia protestów siłą. Tymczasem trwały rokowania i powstawały niezależne związki zawodowe, wreszcie 24 X 1980 zarejestrowano NSZZ „Solidarność”, która zadała pierwszy cios komunizmowi w PRL, a także powstała z inspiracji płynącej z wizyty Jana Pawła II w 1979, który nie tylko umocnił naszą wiarę i dodał nadziei, ale i odrodził poczucie narodowej wspólnoty, zawsze będącej w opozycji przeciwko absurdalnej i kryminalnej ideologii marksizmu. W nasze serca zapadły głęboko Jego słowa: „Nie lękajcie się” czy „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze tej ziemi, TEJ ziemi” (z akcentem na ostatnie dwa

wyrazy). A także i to ważne zdanie: „Nigdy jeden naród nie może się rozwijać kosztem drugiego!”. Omawiana książka przedstawia więc sylwetki 24 działaczy z prawdziwej Solidarności 1980 (a nie ze Solidarności zmanipulowanej przed okrągłym stołem), którzy odpowiedzieli na słowa Karola Wojtyły, ponieważ już od lat nosili w sercach te iskry oporu przeciwko nieludzkiemu reżimowi, który dawał wszelkie wartości i oczywiście demokrację. Są to Hubert Błaszczak, Roman Bordakiewicz, Adam Gajkowski, Tadeusz Jaskulski, Jacek Kłosa, Andrzej Klyta, Zbigniew Koreywo, Mirosław Krupiński, Zofia Kwiatkowska-Dublaszewska, Marek Kwiatkowski, Anna Lilpop Michańków, Czesław Lipka, Jan Michałak, Wiesław Pastuszko, Bogdan Płatek, Andrzej Pokorski, Krystyna Ruchniewicz-Misiak, Henryk Sawicki, Waldemar Sokołowski, Elżbieta Szczepańska, Jagoda Williams (Madej-Wyszyńska), Ryta Zawodzińska, Stanisław Zdziech i Mirosława Zgirska.

Oto „batalion” Solidarności – z wielu stron Polski – który znalazł się w Australii. Nie da się streścić przeżyć i wypowiedzi 24 osób w tym omówieniu, ale gorąco polecam, aby ci co czują się Polakami, nabyli tę historyczną książkę i sami przeczytali dramatyczne wspomnienia bohaterów walki o Polskę, opatrzone gęsto zdjęciami. Tę książkę powinno się przekazać synom i wnukom, aby uczyli się patriotyzmu. Solidarność była nie tylko związkiem robotniczym upominającym się o swoje prawa, ale walczyła też o Polskę niepodległą, a więc można porównać ją do konfederacji szlacheckich, zawiązywanych w dziejach Rzeczypospolitej, np. do konfederacji barskiej. Z tą różnicą, że zamiast szabel i armat bronią Solidarności były fotokopiarki lub tajne drukarnie. Cennym dodatkiem do książki jest wywiad z Andrzejem i Joanną Gwiazdą, którzy odwiedzili antypody, a także apendyks z Tadeuszem Płużańskim, innym gościem w Australii. To on nazwał książkę o Solidarności częścią polskiej historii heroicznej, a w ludziach oddanych Solidarności widzi „kontynuatorów w sztafecie polskich dążeń, których filarem był wyjątkowy gen wolności (...) Ich walka z czerwoną zarazą była zatem bezpośrednim następstwem myśli i czynu żołnierzy AK, NSZ i innych formacji niepodległościowych.” (str. 203). Pan Płużański porównał też bohaterów Solidarności do Żołnierzy Wyklętych, bo za swoją niezłomną postawę płacili też wysoką cenę: wygnanie, trud egzystencji, rozpoczynanie wszystkiego od początku. Zapewne, peerelczycy nie znosili Solidarności i nawet po 1989 słyszało się pseudo autorytety na różnych konferencjach oczerniających prawdziwą Solidarność i jej legendę, natomiast

skrojony podczas Magdaleny. A zdaniem australijskich wygnańców okrągły stół był kantem i oszustwem, ja również nazwałem go trampoliną dla komunistów („Wiadomości Polskie”, Sydney, 8 maja 1989), a prof. Jan Prokop określił go jako arkę Noego dla komunistów. Siegając po książkę opracowaną przez Jagodę Williams (zmuszoną w czerwcu 1981 do ucieczki z Kraju, wraz z 5-letnią córką) poznamy bliżej tragiczny okres stanu wojennego, metody walki i metody represji. Niestety lekcja ta może się nam jeszcze przydać, albowiem od grudnia 2023 Polska znajduje się w stanie ruiny pod „rządami” Tuska i grozi nam likwidacja polskiego państwa, a także Anschluss do UE wielbiącej Marksa, bo postawili mu nawet pomnik w Trewirze – a więc aneksja niby do Brukseli, ale w istocie do „superpaństwa” ze stolicą w Berlinie. Byłby to perfidny cyrk polityczny, nowy rozbiór Polski bez przesuwania granic, taka jakby immersja, czyli zakrycie jednego ciała niebieskiego przez drugie. By zapobiec tej tragedii Polska potrzebuje odrodzonej Solidarności, a zatem pospolitego ruszenia Polaków (na peerelczyków nie ma co liczyć!) połączonego z ruchem rolników walczących o przetrwanie. A na zakończenie gorzki wiersz z 1992 r. Adama Gajkowskiego, zamieszczony w książce jako motto, wiersz o „stanie nierozliczonym”, który utrudnia nam od 1989 walkę o suwerenną III RP:

*Mordowali, kule przeszywały serca.
Szczuli, pod łłami pękały kości.
Bili, knebel zaciskał usta.
Dzisiaj nie znajdziesz winnych,
dzisiaj jest stan niewinności.*

Istotnie, nie pozwolili nam nawet rozliczyć winnych smoleńskiego zamachu. Co większą hańbą jest – zbrodnia czy bezkarność? A ilu członków i działaczy Solidarności czy górników bezkarnie zamordowano w stanie wojennym? Tuziny, czytań o tym w tylu źródłach (np. „Dziwna wojna” J. Karpiński, Paryż 1990), a pan Majchrzak przypomniał we wstępie raport Rokity, który podaje 122 zabitych skrytobójczo. Trzeba mówić o tym wnukom. W książce pani Jagody rozmowy z wygnańcami dodają nowe szczegóły i ofiary, a całość wieńczy kronika reakcji australijskiej Polonii na jaruzelską wojnę z narodem.

Marek Baterowicz

„Solidarność. Na antypody z paszportem w jedną stronę”, Jagoda Williams (współpraca Witold Łukasik, Zbigniew Koreywo, Grzegorz Majchrzak)
Toruń – Melbourne, 2023, Oficyna Wydawnicza Kucharski, str. 212

POLSKA

Polacy oddali hołd śp. Mateuszowi Sitkowi

Śp. Mateusz Sitek zmarł 6 czerwca. Żołnierz został ranny nożem 28 maja. Wojskowego zaatakował na odcinku granicy w okolicach Dubicz Cerkiewnych (woj. podlaskie) jeden z mężczyzn, którzy w grupie próbowali sforsować stalową zaporę. Gdy żołnierz używając tarczy ochronnej blokował wyłom w stalowej zaporze na granicy, sprawca – po przełożeniu ręki przez płot – ugodził go nożem w klatkę piersiową. W stronę rannego i udzielającej mu pomocy funkcjonariuszki Straży Granicznej rzucono gałęzie i kamienie.

W Mszy św. pogrzebowej, która odbyła się 12 czerwca, udział wzięli m.in. prezydent Andrzej Duda i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. Na zakończenie nabożeństwa – poruszające słowa wypowiedziała matka zabitego

żołnierza. „Kochani, módlmy się za naszą ojczyznę. Niech rządzący naszym krajem zawsze podejmują mądre i odpowiedzialne decyzje, aby żadna matka nie musiała płakać nad trumną swojego dziecka, a synowie i córki mogli wracać bezpiecznie do swoich rodzin” - powiedziała matka zmarłego żołnierza.

Przy granicy z Białorusią obowiązuje strefa buforowa!

Na ok. 60 km polsko-białoruskiej granicy w Podlaskiem obowiązuje czasowy zakaz przebywania. Objęty jest nim w większości obszar 200 metrów od linii granicy. W rejonie rezerwatów przyrody – 2 km od tej linii. Strefa ma ułatwić działanie polskich służb. Zgodnie z rozporządzeniem strefa zakazu przebywania obejmuje 60,67 km granicy na odcinku położonym w zasięgu terytorialnym Placówek Straży Granicz-

nej w Narewce, Białowieży, Dubiczach Cerkiewnych i w Czeremsze.

Uroczystość wręczenia sztandaru dowództwu Komponentu Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni

Dowództwo Komponentu Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni otrzymało wojskowy sztandar. Został on wręczony podczas uroczystości na Placu Piłsudskiego w Warszawie. Gen. Karol Molenda, dowódca Komponentu Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni, przypomniał, że jednostki podległe pod cyberwojska są jednym z ważniejszych elementów odpowiedzialnych za bezpieczeństwo Polski. – Zdolność do obrony cyberprzestrzeni stanowi jeden z fundamentów bezpieczeństwa narodowego. Hybrydowy charakter współczesnych działań zbrojnych sprawia, że informatyka, kryptologia i matematyka stają się tak samo ważne, jak

czołgi i samoloty. To dlatego cyberżołnierze nie mogą spocząć na laurach – powiedział gen. Karol Molenda.

To już koniec Trzeciej Drogi?

Wygląda na to, że to już koniec Trzeciej Drogi. Egzotyczna koalicja PSL i Polski 2050 lada chwila może przestać istnieć. Szeregowi działacze partii Władysława Kosiniaka-Kamysza są wściekli na kierownictwo, które trwa w sojuszu z Szymonem Hołownią i Donaldem Tuskiem. „Ludowcy” nie podobają się za to jasnie oświeconym działaczom Polski 2050. – Ta koalicja przynosi nam więcej szkód niż pożytków – mówiła posłanka od Hołowni Joanna Mucha. – I dlatego uważam, że teraz, kiedy jesteśmy na rok przed kolejnymi wyborami, powinniśmy skupić się na tym, żeby odbudowywać własne tożsamości – stwierdziła Mucha.

Radio Maryja, stefczyk, info

CIOSANI Z GRUBSZA

Rozumiemy to, co proste. Trudne bywa powikłane i karkołomne. Wspina się wysoko niczym nieznaną gatunek pnącza, ponad nasze głowy, aspiracje i możliwości intelektualne.

Z drugiej strony, proste wydaje się oklepane czy wręcz natrętnie nieznośne. Niekoniecznie przy tym topornieje do wulgarności, acz przekształcając w pospolicie uliczne, z natury rzeczy siermiężnie. Jak czapka i rękawiczki zimą. Jak na placu zabaw piaskownica z huśtawką. Czy tam inna trampolina.

Niemal dokładnie przed stu laty (1925), poeta Thomas Stearns Eliot – dwie dekady później nagrodzony literackim Noblem za „wydatny wkład nowatorski we współczesną poezję” – wyjątkowo trafnie opisał współczesność i ludzi we współczesność zanurzonych. W równie znakomitym przekładzie innego noblisty (Czesław Miłosz, nagroda w roku 1980), opis ów brzmi następująco: „My, wydrążeni ludzie / My, chochołowi ludzie / Razem się kołyszemy / Głowy napętnia nam słoma (...) / Kształty bez formy, cienie bez barwy / Siła odjęta, gesty bez ruchu (...) / Tutaj kraina nieżywa / Kraina kaktusowa / Tu hodują ka-

mienie / Obrazy, ich łaski wzywa / Dłoń umarłego błagalnie wzniesiona (...)”. W komentarzu powiem tyle: kiedyś, kiedyś – to znaczy dawno, dawno temu, ludzi ciosano z grubsza. W każdym razie zazwyczaj. Byli więc ludzie dobrzy i trafiali się źli, z grubsza w tym sensie, że przywoici bądź nieprzywoici, łagodni lub surowi, przeciętni albo oryginalni, nastroszeni ponad miarę ewentualnie wygładzeni do jednakowego poziomu. Niektórzy ze współczesnych badaczy minionych epok ową systematykę redukują do wyraźnie prostszej: mądre były człowiekowi albo głupie.

Te drugie matka natura ustawicznie eliminowała, mało skutecznie zresztą, i tak to trwało, póki ewolucja nie nabiła naszych poprzednich wersji na sztachety nowoczesności. Przy okazji przysoliwszy młotami postępu po małopoludziach łbach. W wyniku czego, prawdopodobnie, człowiekowi zapadły na inteligencję – małpią wpierv całkowicie, a zszedłszy z drzew, zasiedliwszy sawanny a nawet opanowawszy doliny, stoki wzgórz oraz inne podobne, pre-człowieczą. Człowiekowi-podobną.

Mamy z tego choćby to przekonanie, iż mózg ludzki powinien rozumieć sam

siebie. W końcu to mózg czyni mnie – ze mnie. To mój mózg sprawia, że ja to ja, a nie jakiś ktoś inny. I właśnie na tym tle rodzi się dylemat, o którym trudno myśleć. Oto organ, który pozwala nam, jakoby, rozumieć świat, sam siebie ogarnąć nie potrafi. Jak ów paradoks ujął ktoś mądry: „Gdyby mózg ludzki okazał się na tyle prosty, by człowiek mógł zrozumieć jego działanie, ludzie musieliby okazać się zbyt prości, by działanie mózgu rozumieć”. Ludzkie mózgi pozwalające ludziom poznawać i rozumieć świat, nie rozumiejące, czym same są i jak działają, miałyby wiedzieć, czym jest poznanie? Toż to ściana oczywistego nonsensu. Aż chciałoby się rzec: brońmy się.

Kilka dobrych argumentów znajdziemy. Weźmy Kanta Emanuela. Jak wykazał, obserwując świat widzimy siebie, ponieważ nie możemy oglądać świata inaczej niż przez siebie, przez własne „ja”. Na nieco wyższym poziomie to samo ujęli: jeden z ojców epistemologii poznawczej, psycholog i ornitolog Konrad Lorenz (nasze poznanie determinuje kształt naszego aparatu poznawczego i vice versa) oraz logik i filozof języka Ludwig Wittgenstein (granice naszego świata określa język, którym świat opisujemy; o czym nie można mówić o tym należy milczeć; istnieje tylko to, co da się wypowiedzieć). Rzecz jasna w tym miejscu warto i należy przytoczyć również dość prostackie ujęcie behawiorystów poznawczych,

głoszących wyższość doboru naturalnego ponad wszystko istniejące i nieistniejące, mianowicie, że zachowania organizmów kontrolowane są poprzez środowisko, w którym owe organizmy żyją, oraz dzięki doświadczeniom, jakie w nim zdobywają.

Dosyć. Oto człowiekowi. Ludzie ociosani z grubsza, na tle codzienności z grubsza kształtowanej medialnie. Zdezorientowany tłum, zbudowany z jednostek wznoszących modlitwy do autorytetów zmiędzonych kamieniami barbarzyńskich przekonań. Narzucanych siłą, w sposób, który siłę tę ukrywa starannie i skutecznie. Bezbarwne cienie, uwiązane do nijakich tożsamości, sterczące nad brzegami smrodliwych rzek zakłamaną pamięci. Z połamanymi kręgosłupami i utraconą umiejętnością snienia o przeszłości zaprzepaszczonej królestw, którymi tak niedawno władali. Najpewniej utraconych bezpowrotnie.

I żeby zostać w strefie podsumowującej semantyki Eliota: „This is the way the world ends / This is the way the world ends / This is the way the world ends / Not with a bang but a whimper” – a każdy może sam wybrać: skomlenie preferuje czy raczej skowyt.

Krzysztof Ligeza

Kontakt z autorem: widnokregi@op.pl

ŚWIAT

USA: Izba Reprezentantów przyjęła plan wydatków na obronę wart niemal 900 mld dolarów

Izba Reprezentantów przegłosowała coroczną ustawę wyznaczającą plan wydatków na obronność opiewającą na 895 mld dolarów. W ustawie znalazło się dodatkowe 300 mln dolarów pomocy dla Ukrainy i niemal 3 mld na inwestycje obronne w Europie, a także program szkoleń i wymian między wojskami specjalnymi USA i Polski.

W obszarze polityki europejskiej plan przewiduje kontynuację programu zakupu broni dla Ukrainy w kwocie 300 mln dol., przeznaczenie 2,9 mld dol. na inwestycje obronne (w tym w Polsce) w ramach Europejskiej Inicjatywy Odstraszenia oraz 225 mln dol. na wzmocnienie obronności państw bałtyckich w ramach Bałtyckiej Inicjatywy Odstraszenia.

Dużą większością głosów Izba odrzuciła poprawki mające zakazać Pentagonowi wydatków na pomoc dla Ukrainy, choć przeszła poprawka blokująca pomoc dla Ukrainy do czasu zaprezentowania przez Biały Dom Kongresowi strategii USA wobec wojny w Ukrainie. Administracja miała to zrobić do 8 czerwca, lecz dotąd tego nie uczyniła.

Izba przez akłamację przyjęła ponadto poprawkę ustanawiającą program szkoleń i wymiany polskich i amerykańskich wojsk specjalnych imienia Tadeusza Kościuszki. Projekt zgłoszony został już rok temu przez republikańskiego kongresmena z Tennessee Marka Greena na rocznicę wstąpienia Polski do NATO.

Natowskie dowództwo powstanie w Finlandii

Państwa Sojuszu uzgodniły, że Finlandia przejdzie pod strukturę dowództwa NATO w amerykańskim Norfolk obejmującym całą Skandynawię, a na terenie kraju będzie dowództwo wojsk lądowych oraz przybędą wysunięte siły FFL – powiedział fiński minister obrony Antti Hakkanen.

Rozmieszczenie struktur dowódczych NATO na terenie Finlandii ma charakter odstraszący, a zaletą od-

działów FFL (ang. Forward Land Forces) jest zdolność do przeprowadzenia szybkich manewrów oraz potwierdzenie obecności NATO w regionie – przekazał Hakkanen.

Według ministra sojusznicy wyrazili polityczną zgodę, zaś konkretne kwestie dotyczące lokalizacji, liczebności wojsk, czy udziału krajów w poszczególnych inicjatywach, zostaną ustalone w późniejszym terminie, gdy zostanie to objęte planowaniem wojskowym. Podkreślił, że pierwszym celem jest stworzenie takich struktur na terenie kraju, które umożliwią w razie potrzeby szybkie przerzucenie sił NATO do Finlandii.

Finlandia, po przystąpieniu do NATO 4 kwietnia 2023 roku, zaczęła podlegać pod Sojusznicze Dowództwo Sił Połączonych w Brunssum w Holandii, obejmujące m.in. kraje bałtyckie i Polskę.

Rząd Węgier oburzony wyrokiem TSUE w sprawie migracji

Trybunał Sprawiedliwości UE skazał Węgry na 200 mln euro kary za niewykonanie wyroku TSUE w sprawie migracji, w tym utrudnianie dostępu do ochrony międzynarodowej. Każdy dzień zwłoki ma kosztować Budapeszt 1 mln euro.

- Wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) nakazujący Węgrom zapłacenie grzywny w wysokości 200 mln euro za naruszenie polityki imigracyjnej UE jest oburzający, niesprawiedliwy i niedopuszczalny – powiedział szef kancelarii premiera Węgier Gergely Gulyas. - Orzeczenie jest sprzeczne z prawem UE oraz węgierską konstytucją i karze kraj, który od początku odrzucił migrację, chroniąc własne i europejskie granice zewnętrzne” – powiedział Gulyas. Orzeczenie nigdy nie mogłoby zostać wydane w normalnym sądzie – dodał. - Wyrok jest całkowicie sprzeczny ze wszystkim, w co wierzymy na temat prawa europejskiego, węgierskiej konstytucji, ochrony granic zewnętrznych i skutecznych działań przeciwko migracji – ocenił Gulyas.

„Decyzja TSUE o ukaraniu Węgier (...) za obronę granic Unii Europejskiej

jest oburzająca i nie do przyjęcia” – napisał na portalu X premier Węgier Viktor Orban. „Wygłada na to, że nielegalni migranci są ważniejsi dla brukselskich biurokratów niż europejscy obywatele” – dodał polityk.

Odpowiedzialność za wyegzekwowanie kary spoczywać będzie teraz na Komisji Europejskiej. TSUE już w 2020 roku orzekł, że Węgry uchybiły zobowiązaniom państwa członkowskiego i uchylały się od wdrażania wspólnej polityki unijnej w sprawie migracji.

Rekordowy poziom niezadowolonych z rządu w Niemczech

Większość respondentów najnowszego sondażu stacji ZDF uważa, że niemiecki rząd utrzyma się do następnych wyborów do Bundestagu. Jednocześnie 51 proc. ankietowanych poparłoby przedterminowe wybory federalne. Niezadowolenie z rządu osiągnęło rekordowy poziom.

Nawet po słabych wynikach partii rządzącej koalicji - SPD, Zielonych i FDP - w wyborach europejskich, większość respondentów (66 proc.) uważa, że rząd przetrwa do jesieni 2025 r., gdy powinny odbyć się kolejne wybory. Tylko 30 proc. spodziewa się przedwczesnego rozpadu koalicji.

USA objęły sankcjami izraelską organizację

Departament Stanu USA objął sankcjami izraelską organizację Tsav 9. Jej członkowie blokowali pomoc humanitarną dla Strefy Gazy.

Tsav 9 powstała w styczniu. Jej członkami są głównie izraelscy osadnicy, rezerwисти i rodziny ofiar ataku terrorystycznego Hamasu. Jej nazwa nawiązuje do Tzav-8 – rozkazu mobilizacji rezerwistów w kryzysowej sytuacji. Członkowie tej grupy sprzeciwiają się wysłaniu pomocy humanitarnej do Strefy Gazy twierdząc, że trafia ona w ręce Hamasu. W tym celu napadają na ciężarówki z pomocą, blokują drogi i prześladują ich kierowców.

Od początku istnienia członkowie tej grupy dokonywali ataków na konwoje humanitarne. Atakowali je np. na

przejeździe Kerem Shalom, gdzie podpawali ciężarówki. Obrażenia odnosili nie tylko ich kierowcy, ale także żołnierze Izraelskich Sił Obrony (IDF). Głośno na całym świecie zrobiło się o nich w maju, gdy do mediów społecznościowych trafiło nagranie, jak wyrzucają pomoc humanitarną na ziemię i ją deptają. Stało się to w pobliżu Hebronu.

Rzecznik Departamentu Stanu Matthew Miller powiedział, że zdecydowali się obłożyć ich sankcjami, bo od miesięcy utrudniają wysyłanie pomocy humanitarnej do Strefy Gazy. Strona amerykańska zauważyła też, że to rząd Izraela jest odpowiedzialny za „zapewnienie bezpieczeństwa konwojów humanitarnych, które przejeżdżają przez Izrael i Zachodni Brzeg w drodze do Gazy”. Na nagraniu widać, jak izraelscy żołnierze nie reagują na niszczenie przez aktywistów ciężarówek z pomocą. Niektórzy aktywiści twierdzili, że to wojsko przekazywało im informacje o trasach konwojów.

Ukraina i Mołdawia coraz bliżej UE

Ambasadorowie krajów członkowskich jednomyślnie zatwierdzili tw. ramy negocjacyjne wyznaczające ścieżkę rozmów akcesyjnych z Ukrainą i Mołdawią. To oznacza, że oba kraje rozpoczną negocjacje jeszcze w czerwcu.

Zgoda państw członkowskich na tw. ramy negocjacyjne była tym, co dzieliło Ukrainę i Mołdawię od rozpoczęcia rozmów akcesyjnych. Oba kraje mają status krajów kandydujących od czerwca 2022 r. W grudniu 2023 r. liderzy UE wyrazili polityczną zgodę na rozpoczęcie negocjacji akcesyjnych. Te jednak nie mogły się zacząć bez przyjęcia tw. ram negocjacyjnych - mapy drogowej wyznaczającej zasady i przebieg rozmów akcesyjnych wraz z ich poszczególnymi rozdziałami (obecnie jest ich 35).

Konferencje międzyrządowe z Ukrainą i Mołdawią odbędą się 25 czerwca - na finiszu prezydencji belgijskiej, która zabiegała o przyjęcie dokumentu i rozpoczęcie negocjacji jeszcze w tym półroczu. Od 1 lipca przewodnictwem w Radzie UE obejmą Węgry.

niezalezna.pl, Radio Maryja, wPolityce.pl

Prof. Skrzydlewski o Unii Europejskiej

Prof. Paweł Skrzydlewski, filozof, rektor Akademii Zamojskiej, w felietonie z cyklu „Spróbuj pomyśleć” na antenie Radia Maryja porównał Unię Europejską do Rosji Sowieckiej.

Unia Europejska – jak wskazał prof. Paweł Skrzydlewski – w niektórych aspektach coraz bardziej zaczyna przypominać Związek Radziecki. Było to sztuczne państwo, które wymordowało inteligencję i doprowadziło rodzinę na skraj przepaści. Rosja radziecka była państwem, gdzie człowiek pozbawiony był religii, miał być internacjonalistą.

– Unia Europejska z każdym dniem coraz bardziej przypomina Związek Radziecki. Było to sztuczne państwo utworzone na gruzach Rosji carskiej, które nie tylko ciemniło narody i dokonywało rozlicznych gwałtów, ale także na swój sposób dzień po dniu zmierzało ku upadkowi. Upadek Związku Radzieckiego – nazywany przez dzisiejszego władcę Rosji największą tragedią XX wieku – musiał nastąpić, bo to sztuczne i antyludzkie państwo zadawało gwałt wszystkiemu, co normalne i ludzkie. W tym państwie nie tylko wymordowano właściwie całe duchowieństwo, nie tylko doprowadzono na skraj przepaści rodzinę, własność prywatną, nie tylko zniewolono do granic możliwości ludzkiego ducha, ale także zdewastowano całe dziedzictwo przeszłości. W Rosji radzieckiej w miejsce rodzimej kultury, tradycji miała wejść i rzeczywiście wchodziła nowa radziecka kultura tworzona na gruncie materializmu i myślenia utopijnego, które miało wybudować nowy raj na ziemi. Rosja miała stać się wzorem dla całego świata. Uznawano, że ów raj na ziemi nastanie, ale trzeba do jego przybliżenia zniesienia w ludziach przywiązania do tego, co stare, niewłaściwe. Nowy radziecki człowiek nazywany z czasem homo sovieticus miał być internacjonalistą, postępowcem, istotą wolną od religii – powiedział prof. Paweł Skrzydlewski.

Unijna polityka znana jest dziś nawet dzieciom. Młode pokolenie doskonale wie, czym jest Zielony Ład i jakie skutki będzie nieść jego wprowadzenie. Obecna polityka unijna – podobnie jak

polityka Związku Radzieckiego – zakłada, nie tylko bezbożnictwo, rozbite rodziny, ale także przemianę ludzkiej obyczajowości, kultury, czyli tego, co tworzy Europę.

– Dziś na skutek dewastacji edukacji niewielu młodych i starszych ludzi pamięta o tym, kim był legendarny Pawlik Morozow. Niewielu pamięta powieść o tym, jak hartowała się stal w Związku Radzieckim, ale za to wielu zna małą dziewczynkę Gretę Thunberg, która uciekła ze szkoły, by ratować świat i burzyć stary nieekologiczny ład. Dziś prawie każde dziecko w Unii Europejskiej zna cele Zielonego Ładu i przeżywa mocno plan budowy zrównoważonego rozwoju Europy. Plan budowy zrównoważonego rozwoju Europy zakłada – podobnie jak sowiecka bajka o raju na ziemi – nie tylko bezbożnictwo, rozbite rodziny, ruinę własności i suwerenności państw, ale także całą przemianę ludzkiej obyczajowości, kultury, wszystkiego, co do tej pory tworzyło Europę – stwierdził filozof.

Prof. Paweł Skrzydlewski podkreślił, abyśmy uczyli się historii, bo dzięki niej można zobaczyć, co dzieje się ze społeczeństwem, które traci rozum.

– Jeszcze w latach 80. w naszej Ojczyźnie, choćby za sprawą filmów Stanisława Barei, można było się śmiać z durnych pomysłów urzędników partyjnych, ale dziś urzędowo w Unii Europejskiej wprowadzana jest ideologia poprawności politycznej i ścigane są tzw. wypowiedzi mające walor wypowiedzi nienawiści. Śmiech z tych wszystkich projektów może okazać się bardzo kosztowny i niebezpieczny. Uczmy się historii, bo ona jest nauczycielką życia, ona może dać nam przykład tego, co dzieje się z całymi społecznościami, które straciły rozum i pogrążyły się w utopijnych projektach budowy raju na ziemi. Takim utopijnym projektem jest Unia Europejska, która czyni wszystko, aby zniszczyć normalność – akcentował rektor Akademii Zamojskiej.

Radio Maryja

Historyczna wizyta papieża na szczycie G7

Franciszek, jako pierwszy papież w historii, wziął udział w szczycie G7. Spotkanie grupy siedmiu najbardziej uprzemysłowionych państw świata, odbyło się od 13 do 15 czerwca we włoskiej Apulii. Po przybyciu o godzinie 12:10 helikopterem Papież wziął udział w czterech dwustronnych rozmowach z dyrektorem generalną Międzynarodowego Funduszu Walutowego Kristaliną Georgiewą, prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim, prezydentem Francji Emmanuelem Macronem i premierem Kanady Justinem Trudeau, a następnie, w towarzystwie włoskiej premier Giorgii Meloni, udał się do hali Arena, gdzie został powitany oklaskami przez przywódców na wspólnej sesji.

Franciszek przemawiał podczas wspólnej sesji ze światowymi przywódcami. Papież mówił o sztucznej inteligencji, jednym z głównych tematów G7. Podkreślił, że jest to fascynujące narzędzie, ale jednocześnie „groźne”. Zaznaczył, że jest to narzędzie zdolne do przynoszenia korzyści lub powodowania szkód, jak wszystkie narzędzia stworzone przez człowieka od zarania dziejów. Papież poświęcił już tematowi sztucznej inteligencji swoje Ogródzie na 58. Światowy Dzień Środków Społecznego Przekazu. Teraz, przed osobami, które ponoszą odpowiedzialność za świat, Papież analizował możliwości sztucznej inteligencji, jak również ryzyko i jej wpływ na przyszłość ludzkości. Mówił to zaś w kontekście „wojny w kawałkach” – jak często powtarza.

Papież podkreślał: „w dramacie, jakim jest konflikt zbrojny, należy pilnie przemyśleć rozwój i wykorzystanie urządzeń takich jak tak zwana 'śmiercionośna broń autonomiczna', aby zakazać ich używania, począwszy już od faktycznego i konkretnego zobowiązania do wprowadzenia coraz bardziej znaczącej ludzkiej kontroli”.

Nie mając uprzedzeń wobec postępu naukowego i technologicznego Franciszek wyjaśniał podczas spotkania G7, że są jednak obawy przez swoistym dryfowaniem.

„Nauka i technologia są niezwykle mi produktami twórczego potencjału

nas, istot ludzkich” – podkreśla Papież i dodał „właśnie z wykorzystania tego twórczego potencjału, który dał nam Bóg, rodzi się sztuczna inteligencja”. Franciszek zaznacza, że sztuczna inteligencja to niezwykle potężne narzędzie wykorzystywane w wielu obszarach ludzkiego działania: medycynie, kulturze, komunikacji, edukacji, polityce, pracy. „I można teraz bezpiecznie założyć, że jego wykorzystanie będzie w coraz większym stopniu wpływać na nasz sposób życia, nasze relacje społeczne, a w przyszłości nawet na sposób, w jaki pojmujemy naszą tożsamość jako istotę ludzką”.

Tak więc, z jednej strony, dodają entuzjazmu możliwości, jakie oferuje sztuczna inteligencja; z drugiej strony, wywołuje ona obawy z powodu zapowiadanych konsekwencji. Przede wszystkim, zdaniem Franciszka, należy dokonać właściwego rozróżnienia między maszyną, która „może, w pewnych formach i za pomocą tych nowych środków, dokonywać wyborów algorytmicznych”, a zatem „wyboru technicznego spośród wielu możliwości”, a istotą ludzką, która zamiast tego „nie tylko wybiera, ale jest zdolna do podejmowania decyzji w sercu”. Z tego powodu, jak podkreśla Papież „w obliczu cudów maszyn, które zdają się być zdolne do samodzielnego wyboru, musimy sobie wyraźnie uświadomić, że istocie ludzkiej zawsze należy pozostawić decyzję, nawet z odcieniem dramatycznym i nagłym, jakie czasami są obecne w naszym życiu”.

Ostrzeżenie Papieża jest jasne: „Skazalibyśmy ludzkość na przyszłość bez nadziei, gdybyśmy pozbawili ludzi zdolności do decydowania o sobie i swoim życiu, skazując ich na zależność od wyborów dokonywanych przez maszyny. Potrzebujemy gwarancji i ochrony pewnej przestrzeni znaczącej kontroli dokonywanej przez istoty ludzkie, nad procesem wyboru programów sztucznej inteligencji: chodzi w tym o samą godność ludzką”.

Salvatore Cernuzio,
ks. Paweł Rytel-Andrianik
Vatican News

Amerykanie nie doceniają roli Polski w upadku komunizmu

Niestety poza Polonią w USA, gdy w czerwcu 1989 r. w Polsce odbywały się pierwsze częściowo wolne wybory, Amerykanie zasadniczo nie zdawali sobie sprawy z istoty tego, co się dzieje tamtej chwili w Europie. Nie rozumiano też, jak ważna była rola Polski w całym procesie upadku komunizmu. Tym co przemówiło do zbiorowej wyobraźni był niestety dopiero upadek muru berlińskiego – mówi dr Gregory Domber, amerykański historyk i wykładowca akademicki z California Polytechnic State University.

Jak pan ocenia to, co zaczęło się w Polsce 4 czerwca 1989 r.

Był to cud, na który Amerykanie nie liczyli do ostatniej chwili. Była to niespodzianka i wspaniała chwila absolutnej radości dla Amerykanów. Ludzie się tego nie spodziewali, a fakt, że Polacy byli w stanie wynegocjować i pokojowo osiągnąć porozumienie, był w istocie cudem w oczach wszystkich amerykańskich polityków i decydentów. Sądzę, że zaskoczyło to wiele osób. Długo na to czekaliśmy, a kiedy już się wydarzy-

ło, był to dla nas moment prawdziwego szczęścia.

Czy pana zdaniem Stany Zjednoczone odegrały jakąś rolę w walce polskiego społeczeństwa z komunizmem?

Myślę, że była to ważna rola, ale nie zdecydowała ona o tym, co się wydarzyło. Piszę o tym w swojej książce sprzed 10 lat zatytułowanej „Empowering Revolution”. Sądzę, że najważniejszym wkładem Stanów Zjednoczonych było wsparcie materialne dla opozycji, a także stworzenie relacji opartych na prawdziwym zaufaniu najpierw z tą opozycją, a w późniejszych latach 90. również z reformatorami z PZPR. Tak mogę do ująć w wielkim skrócie.

Jak zwykli Amerykanie postrzegali wydarzenia, które rozgrywały się w Polsce w 1989 roku? Czy wzbudzały one zainteresowanie prasy?

Myślę, że w tamtej chwili generalnie nie rozumiano, jak ważna była rola Polski w całym procesie. Profesor Hutchings wspomina, że dla niego moment

objęcia przez Mazowieckiego urzędu premiera był tą chwilą, gdy uświadomił on sobie, że komunizm upada. Myślę jednak, że dla opinii publicznej USA takim momentem jednoznacznie oznaczającym koniec komunizmu w Europie środkowej był dopiero upadek muru berlińskiego. To wzbudziło zainteresowanie Amerykanów. Poza Polonią nie zdawano sobie sprawy z istoty ówczesnych wydarzeń. Dopiero po fakcie zrozumiano, jak ważną rolę odegrała Polska w uczynieniu tego zdarzenia możliwym. Myślę jednak, że obecnie zainteresowanie publiczne rocznicą 4 czerwca jest niewielkie, dlatego obecność przedstawicieli USA w Polsce w tym czasie jest niezbędna, by ten moment podkreślić.

Czyli polskie wybory 4 czerwca nie wzbudziły szczególnego zainteresowania amerykańskiej prasy?

Owszem, pisano o nich, ale nie oddziaływało to na wyobraźnię Amerykanów. Nie wiedzieli, co to oznacza. Dopiero wydarzenia listopada 1989 zaważnęły amerykańską wyobraźnię. Ze szkodą dla Polaków, którzy zasługują na ogromne uznanie za wkład w wydarzenia w regionie.

Czy Pana zdaniem popełniono w Polsce jakieś błędy w okresie po 4

czerwca, w procesie przemian z ustroju komunistycznego na kapitalistyczny, naszego „powrotu na Zachód”? Czy coś można było zrobić lepiej?

Patrząc z perspektywy czasu, oczywiście są rzeczy, które można było zrobić inaczej. Ale decyzje podejmowane w tamtym momencie były uzasadnione, a możliwość stworzenia stabilnej zmiany była priorytetem. Dlatego absolutnie nie krytykuję ówczesnych działań ani rządu USA, ani samych Polaków. Z perspektywy czasu widać, zwłaszcza w odniesieniu do trudności gospodarczych na początku 1990 r., że można było postąpić inaczej. Ograniczenia podejścia neoliberalnego spowodowały z pewnością wiele ludzkiego cierpienia. Ale wówczas wszystko działo się szybko i na większą skalę, niż ktokolwiek się spodziewał. Ból był prawdziwy i głęboki, ale trwał krótko. Dlatego uważam, że podjęte wówczas decyzje były bardzo dobre. Z perspektyw czasu zawsze pojawiają się uwagi i wątpliwości, ale w danej chwili były to genialne kroki w kierunku wolności. Bardzo to doceniam.

Rozmawiała Joanna Talarczyk
dlapolonii.pl



DLAPOLONII

Obchody Dnia Osadnika Polskiego w Argentynie - święta jednego w skali świata

Na pewno będziemy upamiętniać wszystko, co pierwsze pokolenia rodzin polskich zrobiły w Argentynie. Ten Dzień Osadnika Polskiego jest dla mnie bardzo ważny, sentymentalny - powiedział Family News Service prof. José Skowron-Posłuszna, potomek pierwszego pokolenia Polaków, które przyjechało około 100 lat temu do prowincji Misiones w Argentynie. W niedzielę 9 czerwca potomkowie Polaków zakończyli doroczne świętowanie Dnia Osadnika Polskiego - argentyńskiego święta narodowego.

Rozmówca Family News Service zaznaczył, że Argentyna to jedyny kraj na świecie, w którym obchodzi się Dzień Osadnika Polskiego jako święto narodowe. Upamiętnia on przybycie w 1897 r. pierwszych 11 rodzin do prowincji Misiones, w tym 6 z ziem polskich. Prowincja Misiones potrzebowała ludzi do pracy.

Związek Polaków w Argentynie od 1995 roku, na 100-lecie przybycia pierwszych osadników, zabiegał w argentyńskim parlamencie o ustanowienie takiego dnia. 6 grudnia 1995 r. Senat Argentyny ogłosił ustawę nr 24601, ustanawiającą dzień 8 czerwca każdego roku Dniem Osadnika Polskiego, aby uczcić pamięć o tych, którzy wytrwałością i poświęceniem skutecznie przyczynili się do współtworzenia historii Argentyny.

Prof. José Skowron-Posłuszna jest wiceprezesa Stowarzyszenia Kulturalnego Argentyńsko-Polskiego ACAP oraz wiceprezesa Klubu Unii Europejskiej w Argentynie. Czuje się Argentyńczykiem, ale podobnie jak setki tysięcy mieszkańców tego państwa

nie zapomina o polskim pochodzeniu. „Mój pierwszy język to był polski” - podkreślił, wspominając czasy spędzone w domu rodzinnym, gdzie mówiło się po polsku. Po ukończeniu gimnazjum prof. Skowron-Posłuszna udał się na studia na Uniwersytet do Buenos Aires. Odwiedza Polskę, w tym Kraków - rodzinne miasto ojca.



Polscy osadnicy w Argentynie. Fotografia archiwalna

Związek Polaków w Oberá Misiones prowadzi Dom Polski zbudowany w stylu zakopiańskim. Do dzisiaj Polacy tam się spotykają, zwłaszcza przy okazji rocznic i świąt. Z okazji Dnia Osadnika Polskiego organizowane są również okolicznościowe nabożeństwa. W świętowanie włączają się przedstawiciele innych nacji zamieszkujących Argentynę. „Wszystkie organizacje polskie i argentyńskie świętują ten dzień Polaków” - zaznaczył profesor.

W tym roku uroczyste obchody w

Ambasadzie Polskiej w Argentynie, w kościele oraz w Domu Polskim odbyły się 8 i 9 czerwca. Już w piątek 7 czerwca w parlamencie w Buenos Aires była wystawa zdjęć z polskimi emigrantami zorganizowana przez parlament i Ambasadę RP. Obchody zaczęły się nawet wcześniej i w sumie trwały tydzień.

Największa grupa emigrantów z Polski przybyła do Misiones w okresie międzywojennym. Było to ok. 13 tysięcy rodzin polskich. „Moi rodzice i dziadkowie przyjechali w tym czasie do Misiones i zaczęli tam pracę” - wspominał profesor. Życie w tak odmiennym niż Polska miejscu, nie było łatwe. „Po pierwsze klimat tropikalny i 'Jungla' (dżungla). Tutaj jest bardzo ciepło, pada deszcz i występuje znaczna wilgoć. Polacy musieli wchodzić do dżungli, nie było drogi. Zrobili ścieżki. Do dzisiaj jeszcze istnieją dwie małe drogi, które się nazywają Ścieżka Polska i Ścieżka Galicja” - poinformował potomek polskich emigrantów. „Dziś jedyna czwarta Misiones to ludzie polskiego pochodzenia” - dodał rozmówca Family News Service.

Argentyna docenia wkład Polaków w rozwój gospodarczy regionu. Polacy wnieśli ogromny wkład w rozwój Misiones. Największą firmą produkującą yerba mate w Argentynie jest Amanda. Jan Szychowski to twórca polsko-argentyńskiej rodziny yerba mate.

Polscy osadnicy byli pionierami w rozwoju przemysłu herbacianego, tworząc najpierw plantacje herbaty, następnie zakłady przemysłowe, aż w końcu przyczynili się do eksportu gotowego produktu.

Obecnie w prowincji Misiones uprawia się ok. 38 tys. hektarów herbaty, ok. 90 tys. ton przetranszuje się na eksport, co stanowi 95 proc. produkcji. Znaczny wkład w rozwój ten branży na tym terenie mają właśnie Polacy i ich potomkowie. Jest wiele przedsiębiorstw herbacianych w Argentynie, które są w rękach potomków Polaków. „To jest bardzo ważne dla Argentyny, ale trzeba pamiętać, że jak Polacy przyjechali, nie znali języka, nie było możliwości kontaktu z ludźmi, nie było dróg, szpitali, niezbędnej infrastruktury” - dodał prof. José Skowron-Posłuszna, wspominając trudne początki.

Jak poinformował potomek Polaków, „w Misiones mieszka obecnie ok. 300 tysięcy osób polskiego pochodzenia. W całej Argentynie, w miejscowościach takich jak Cordoba, Chaco, Buenos Aires, Comodoro Rivadavia to ok. 500 tys”. Od początku swojego pobytu na ziemi argentyńskiej Polacy stawiali w swoich rodzinach na religię i edukację. „Dzisiaj jest wielu inżynierów, polityków, doktorów polskiego pochodzenia. Trzecie pokolenie jeszcze trochę mówi po polsku, czują się Argentyńczykami, ale nigdy nie zapominają o swoich korzeniach” - zaznaczył profesor. Podkreślił, że „wiele młodych osób wyjeżdża do Polski. Szukają miejsc, gdzie urodzili się ich dziadkowie. Chcą wiedzieć, skąd pochodzą”. W 1997 r. potomkowie Polaków mieli okazję spotkać się ze św. Janem Pawłem II w Krakowie.

Family News Service

Fot. Z archiwum prof. José Skowron-Posłuszna

OPOWIEŚCI Z POLESIA

Kółko

Mało było czasu, ponadto młody był wiek na poważniejsze rozmowy, a zabawy dziecięce były rozrywką dla dzieciaków, czas biegł nieustannie niczym nakreślony zegarek.

Po zajęciach szkolnych znajdowałam kartkę na stole napisaną przez mamę: „motyczki macie naszykowane stoją obok jabłunki, zupa w garnku na kuchni powinna być jeszcze gorąca”. Zjadłam obiad „na szybko”. Jedzenie było zdrowe, bo powietrze, gleba, woda były czyste i przejrzyste. I co tu wiele roztrząsać przeszłość, wskoczyło się w robocze ubranie i szło się na piechotę lub wozem jechało się z rodzicami w pole. Od dziecka lubiłam obserwować niebo jego kształty i kolory. A mama pytała: - I co tam widzisz w górze? - Na deszcz się zanosi. - Na deszcz nie licz, wręcz przeciwnie, będzie pogoda.

Roboty było moc, chyba że deszcz padał i nie dało się wyjść na dwór. Gdy przestawało padać, wypadałyśmy na bosaka z domu i skakałyśmy po kałużach; żabki uciekały w popłochu, a chłopcy rzucali robakami dla strachu. Takie mam wspomnienia - migawki z dzieciństwa.

Lubiłam chodzić do dziadka Leona, mieszkał przy ulicy Floriańskiej. Często bywał u dziadków kuzyn Jan, a mieszkał dosyć blisko i był dziadka serdecznym przyjacielem. Śiadali sobie na ławie przed domem, dziadek palił fajkę, a kuzyn podkręcał wasa i opowiadał najrozsowniejsze historie z dawnych lat.

Opowieść o kółku bardzo mnie zafascynowała. A było to tak. W sierpniu 1920 roku obce wojsko przemieszczało się przez miasto Ostrów. - Na pochybel - wtrącał dziadka kuzyn powiedzonko, co podkreślało akcent pogranicza wschodniego. Krzyki, wrzaski rozbrzmiewały po ulicach, mieszkańcy kryli się, gdzie kto mógł, nie wiadomo bowiem, jaki byłby efekt spotkania z nimi oko w oko. Na pewno pokojowo nie byli nastawieni. I opowiadał dalej, że jeden chłopiec taki „skrecony”, jak to czasem mówimy o dzieciach ruchliwych, bawił się kółkiem żelaznym od katarynki. W pewnej chwili kółko to poturlało się z podwórza i wpadło wprost pod kopyta jadących na koniach bolszewików. Chłopiec już biegł za kółkiem, lecz mama chwyciła go i uciekła z nim do chaty, kryjąc się w piwnicy, gdzie oczekiwała na nich w wielkim strachu reszta rodziny.

Nie był to koniec owego koszmaru. Poszkodowany bolszewik zszedł z konia, zszedł do chaty i wołał głośno po rosyjsku: - Malczuk k mnie. Szukając domowników, otworzył piwnicę. Zobaczył w niej młode, ładne kobiety i nie wiadomo, jaki byłby finał tego spotkania, Wówczas, niespodziewanie, chłopiec podskoczył do niego i chwycił za kółko. Został odepchnięty i upadł na stertę leżących w kącie starych ziemniaków.

- Burzuje pany, koń okulał - coś takiego - krzyczał rozszalony bolszewik.

Nie wiadomo jak by się to wszystko zakończyło, ale do piwnicy zszedł drugi żołnierz i dał rozkaz, by ten się oddalił. Ten nagły zwrot akcji nie spodobał się pierwszemu żołnierzowi - był wyraźnie

zawiedziony. Jednak drugi „gość” zwrócił się do matki chłopca łamaną polszczyzną, oznajmiając z cicha, że korzenie rodowe jego matki pochodzą znanąd Wisły. Nakazał, by nie wychodzili w piwnicy aż odjadą w stronę Warszawy. Matka chłopca podziękowała i obyczajem naszym nakreśliła krzyżyk na jego czole.

- Kółko - mówił dziadek - kosztowało rodzinę niemało strachu, ponadto zabrano z obory zdrowego konia, zostawiając utykającego oczywiście i to za przychylnością żołnierza polskiego pochodzenia. Do piwnicy dochodziły krzyki rozszalonych bolszewików na temat konia i Lachów. Siedzący w piwnicy ostrowianie modlili się do Boga, by przetrwali i wyszli z tego cało i zdrowo. I nie wiadomo tylko było, czy kółko chłopca rzeczywiście zrobiło taką kraksę czy też koń okulał w drodze.

- Utykającego konia wyłeczyleś, Leonie - wyrócił się kuzyn Jan do mojego dziadka i uściskali się na znak solidarności.

Dziadkowie przeżyli kilka wojen. Uwielbiali rozmawiać, dyskutować, prowadzić dialogi. - Nadejdzie czas i zabierze nas, musimy przekazywać historię dzieciom, wnukom - powtarzali. Czuli się wyjątkowo ważni, trwali przy swojej ziemi, domostwie, pomimo trudnych warunków życiowych, często znajdowali się w krytycznych sytuacjach, a

my, dzieci, zajęci swoimi sprawami, mimochodem oddalałyśmy się od nich do swoich zabaw. Dzisiaj trudno, a może niemożliwością znaleźć kogoś do wspomnień sprzed lat.

Nie wszystko dało się spisać, często coś przeszkadzało, brakowało deski do pisania, ołówek stracił ostrze, kartka się pomiętoliła, pióro pacnęło kleksa, atrament palce zabrudził, a jeszcze koleżanki zachęcały do grania w podchody, a świadkowie powoli wstawali z ławek i odchodzili w poczuciu końca czasu. Złej taneczniczcy przeszkadza rąbek u spódnicy - mówieli. Oczywiście, trzeba było wysłuchać, przecież czas leczy rany, ale nie zabiera, tak się myślało.

Pamiętam, jak dziadek prosił: - Celina, posiedź z nami. - Dziadku, na chwilę pobiegnę.

Jak wróciłam dziadków nie zastałam na ławce przed domem, a ta chwilka pochłonięła

kilka godzin na zabawie w chowanego grajcara.

I w dniu wybuchu stanu wojennego dziadek jak się schował, tak już nie siedział na ławie przed domem, została po nim laska, kościana fajka i wspomnienia.

Celina Rapa

Polesie

Fotografia z rodzinnego albumu kuzyna Jana.



130 lat temu we Lwowie otwarto Panoramę Raclawicką

5 czerwca 1894 r. we Lwowie wystawiono Panoramę Raclawicką. Okazją były uroczystości stulecia zwycięstwa nad Rosjanami i Powszechna Wystawa Krajowa. W 1946 r. - zgodnie z wolą Stalina - obraz stał się „darem narodu ukraińskiego” dla Polski, którego władze PRL przez 40 lat nie chciały pokazywać publicznie.

Monumentalny obraz olejny, namalowany pod kierunkiem Wojciecha Kossaka i Jana Styki, ma 114 m długości i 15 m wysokości; jest cylindrycznie rozpięty na rusztowaniu. Widz ogląda go, stojąc na platformie widokowej w centrum rotundy, otoczony malowidłem - niczym krajobrazem - ze wszystkich stron.

Za pomocą efektów świetlnych, perspektywicznych i optycznych, Panorama przenosi obserwatora w czasie - i czyni „świadkiem” bitwy z 4 kwietnia 1794 r. Wojska powstańcze pod wodzą Tadeusza Kościuszki zmierzyły się wtedy z armią rosyjską w rejonie Raclawic; Panorama przedstawia artystyczną wizję tego zwycięskiego starcia.

„Obraz przedstawia bitwę w rozstrzygającej chwili o godz. 4 po południu. Wszedłszy do wytwornie i lekko (...) zbudowanego budynku, przechodzi widz przez ciemny korytarzyk i po schodach dostaje się na podium, obite szarem płótnem, otoczone nokoło żelazną galerijką” - opisywała wrażenia widza „Gazeta Lwowska” z 30 maja 1984 r. „Stanąwszy tu, jest od razu olśniony wspaniałe mi pięknosciami olbrzymiego dzieła. Tuż od jego stóp niemal biegnie tak zwany »falszywy teren« (...) Widz stoi na wzgórku w pośrodku walki” - wyjaśniał dziennik.

Treść balistycznej epopei objaśniał druk wydany przez Komitet Panoramy: „Wszedłszy na podium - widzisz tuż przed sobą sławny atak kosynierów na działą rosyjskie, ustawione w jednym szeregu. Pierwszy skoczył na baterię i czapką przykrył zapał armaty Wojciech Bartosz, gospodarz ze wsi Rzędowie, którego Kościuszką ten czyn bohatera chorążym mianował i nazwał Wojciechem Głowackim, a towarzyszy jego, rekrutów ochotników, tytułem regimentu Grenadierów Krakowskich zaszczylił”.

Geneza obrazu wiąże się z przygotowaniem do Powszechnej Wystawy Krajowej we Lwowie w 1894 r. W zamysle wystawa miała sportretować dorobek gospodarczy i życie społeczno-kulturalne Austro-Węgier, oraz zamanifestować żywotność narodu polskiego; jednoś ponad zaborczymi podziałami. Zdzisław J. Zieliński w opracowaniu „Lwów stolicą” nakreślił rozmach tej imprezy: „Oto z okazji Powszechnej Wystawy Krajowej (1894) Lwów sprawił sobie tramwaj elektryczny (przed Londynem, Paryżem, Rzymem, Petersburgiem i Wiedniem - Warszawa dopiero w 1908 r.). Tramwaj wymagał elektrowni, a ta z kolei wprowadziła oświetlenie elektryczne i rozbudowę sieci telefonicznej” - napisał.

Na wystawę, przygotowaną przez dwa lata złożyło się 129 pawilonów, w któ-

rych na 50 ha eksponowano dokonania 34 branż: od szkół ludowych i lokalnych haftów, przez parowozy po tuczniaki i wiercenia geologiczne. Organizatorzy, a szczególnie prezes książe Adam Stanisław Sapieha, chcieli nadać wystawie szczególną wymowę patriotyczną. Wtedy Jan Styka zaproponował, aby namalować pierwszą polską panoramę, przedstawiającą bitwę pod Raclawicami.

W ówczesnej Europie była moda na panoramy. Realistyczne płótna uzupełniały przedmioty, tak ustawione i oświetlone, aby widz zatracił zdolność do oceny, gdzie kończy się obraz, a zaczyna sztafaż. Pomysł Styki spotkał się z aprobatą. Janina Natusiewicz-Mirer, w piśmie „Ochrona zabytków” streściła wstępne prace: „W listopadzie 1892 r. Styka (...) zdecydował, iż kulminacyjnym momentem panoramy będzie zdobycie rosyjskich armat przez polskich kosynierów”.

Najważniejsze było znalezienie współpracownika zdolnego sprostać dziełu. Styka zaprosił do współpracy Wojciecha Kossaka; potem utworzył zaplecze organizacyjno-finansowe - został powołany Komitet Budowy Panoramy. Pierwsze zebranie odbyło się 6 stycznia 1893 r. Dla zdobycia funduszy postanowiono założyć konsorcjum akcjonariuszy oraz wystąpić o kredyt bankowy. Prace komitetu referowała „Gazeta Lwowska”. Panorama Raclawicka miała być dziełem sztuki promującym patriotyzm - i zarazem intratną inwestycją. Jej budżet oszacowano na 100 tys. złotych reńskich, w tym 45 tys. na koszty budynku, urządzenie wnętrza, sztucznego terenu a 20 tys. - na honoraria dla Kossaka i Styki. Ostatecznie koszty wzrosły do 115 tys., ale kwota się zwróciła. Kossak i Styka otrzymywali jeszcze tantiemy - 25 proc. zysków konsorcjum.

W ostatnich dniach stycznia 1893 r. malarze pojechali do Wiednia, aby w archiwum wojennym skopiować plan bitwy pod Raclawicami i złożyć w specjalistycznej firmie Gridla zamówienie na rusztowanie do rotundy. Następnie Styka udał się do Monachium, aby zaangażować pejzażystę Ludwika Bollera, doświadczonego w malowaniu nieba i pejzażu. W 1971 r. Janina Natusiewicz-Mirer otrzymała od Wandy Stykowej odbitki notesu jej męża. Istota malowania panoramy - to, zdaniem Styki, „poprawne wyznaczenie linii horyzontu, właściwe oświetlenie i umiejętnie namalowane niebo, czyli powietrze”.

Ledwo zagruntowano płótno na stelażu, Kossak i Styka poprosili o poświęcenie palet i pędzli podczas uroczystej Mszy. 10 marca 1983 r. Komitet Budowy Panoramy we Lwowie podpisał z artystami umowę. W kwietniu Kossak, Styka i Boller pojechali na wizję lokalną do Raclawic i wybrali punkt widokowy.

Pod koniec miesiąca Komisja Artystyczna zaaprobowała szkic kompozycji, złożony z czterech części. Swoje dwie Kossak wykończył w Krakowie, a Styka swoje - we Lwowie. Wspólnicy nie pracowali razem - weszli w konflikt. Kossak był zorga-

niezowany i systematycznie odbywał „malarzo-godzinę”. Tymczasem Styka, urodzony menedżer, dźwigał na barkach promocję oraz finansowanie akcji. Miał malować, odbywał spotkania.

„Nie tyle pinxit ile combinavit Styka. Malowało wielu, on na szczęście najmniej i dlatego panorama była niezła” - ocenił Tadeusz Boy-Żeleński w „Psychologii sukcesu”. „Cały był pochłonięty oprowadzaniem zwiedzających roboty dostojników; pokazywał, objaśniał, gadał, przy czym oczywiście on był twórcą wszystkiego. Pamiętam, jak Włodzio Tetmajer na ciepło odgrywał te paradne sceny, śmiejąc się i wściekając po trosze, bo zdarzało się, że Styka pokazywał jako swoją grupę jeszcze mokrą od pędzla Tetmajera. Gorzej było, kiedy próbował wywłaszczyć Kossaka. Po wizycie jakiegoś arcyksięcia, gdy Styka zanadto wlaził Kossakowi w szkodę, temperamentowy Wojtek gonił go po rusztowaniach, chcąc go obić” - opisywał.

Nie zostały zawczasu uzgodnione kwestie autorskie, ponadto Kossak jako malarz - batalista dążył do realistycznego obrazu bitwy, a Styka chciał rozbudowanej warstwy symbolicznej. „Od świtu więc do zmierzchu śmigają zamazyscie pędzle... Nieraz jeden ich rzut staje się tematem długich, gorących dyskusyj. Scierają się rozliczne prądy i zdania, do ostrych niemal dochodzi rozpraw” - odnotował ich spory miesięcznik „Świat”, który pełnił funkcję organu Wystawy Krajowej.

Rozjemcą malarzy, w październiku 1893 r., został Ludwik Baldwin-Ramułt, architekt i członek Komitetu Budowy Panoramy. Uzgodnił formalny podział zakresu prac. „Ze względu na konieczną potrzebę jednolitego działania około prac artystyczno-malarskich przy wykonaniu Panoramy przyznaje się Panu Wojciechowi Kossakowi wewnętrzne kierownictwo a to za zgodą dobrowolną Pana Jana Styki. Panu Janowi Styce, jako inicjatorowi Panoramy, przyznaje się prawo dyspozycji figur i ugrupowania obrazu pod względem historycznym. Następnie w dokumencie stwierdzono, że dawne różnice zostają puszczone w niepamięć, zaś malarze podali sobie ręce na znak zgody. Ustalono także, że nazwiska dwójki twórców będą podawane w kolejności alfabetycznej” - czytamy w protokole Ramułta.

W malowaniu Stykę wspierali Włodzimierz Tetmajer i Wincenty Wodzinowski, Kossak współpracował zaś z batalistą Zygmuntem Rozwadowskim i Teodorem Axentowiczem. Ludwik Boller wykonał partię nieba i dalszoplanowy pejzaż. Bollerowi pomagali Tadeusz Popiel i Michał Sozański. Autorstwa Popiela jest m.in. chałupa i krzyż z gromadką modlących się ludzi.

26 sierpnia 1893 r. Kossak i Styka rozrysowali pierwsze sceny na płótnie w rotundzie. Po dziewięciu miesiącach, 28 maja 1894 r. gotowe dzieło przejęło konsorcjum.

Widowni udostępniono Panoramę Raclawicką 5 czerwca - w dniu uroczystego otwarcia Powszechnej Wystawy Krajowej, dokonanej przez „Najd. Arcyksięcia Karola Ludwika, w Imieniu Protpektora Wystawy Najjaśniejszego Pana”. W czasie 4,5 miesięczą wystawę zwiedziło 1 mln 150 tys. osób - Panoramę obejrzało kilkaset tysięcy widzów. (...)

Panorama wywoływała silne poczucie realności - są liczne opisy sytuacji, gdy ktoś chciał jej dotknąć, nie wierząc, że to tylko płótno. Na wystawę przyjeżdżały wycieczki chłopów z całej Galicji, w tym potomkowie autentycznych kosynierów. (...)

W 1912 r. Panorama zagroziło pocięcie na kawałki i rozdzielanie między akcjonariuszy upadającego konsorcjum. 26 lutego 1912 r. właścicielem obrazu została gmina miasta Lwowa.

Natalia Filerycz odsłania ukraiński rozdział dziejów Panoramy. Po wkroczeniu do Lwowa Armii Czerwonej w 1939 r., ukraińscy komuniści rozpoczęli planowe „zabezpieczanie” prywatnych kolekcji dzieł sztuki oraz swoiste „rozkułaczanie” muzeów. Każdy pracownik dostał trzy miesiące na to, aby zapoznać się z „Krótkim kursem historii WKP(b)”, oraz z dziełem Stalina

„Kwestie leninizmu”. Wszelkie przemiany dokonywały się pod osobistym nadzorem Nikity Chruszczowa. Od 1940 r. filię Galerii Lwowskiej stanowiła Panorama Raclawicka. Natalia Filerycz podaje, że obejrzało ją 33 tys. 574 widzów.

2 lipca 1941 r. w protokole Obwodowej Galerii Obrazów zapisano, że w niedzielę dnia 22 czerwca 1941 r. rano „dobrowolnie przybyli (...) wszyscy prawie pracownicy działu zachodnioeuropejskiego i przystąpili natychmiast do zabezpieczania obrazów”.

9 kwietnia 1944 r., w czasie bombardowania Lwowa uległa uszkodzeniom rotunda Panoramy. Bomba zapalająca, o wadze 250 kg, nie eksplodowała, lecz przebiła dach i zaryła się w sztucznym terenie obok sceny z płonąca chatą i grupką ludzi pod krzyżem. Cztery mniejsze bomby uderzyły w więzania dachu: obraz oberwał się na szerokości 50 metrów, spadł na sztafaż.

W pierwszych dniach czerwca 1944 r., w obawie, że Armia Czerwona dokończy dzieła zniszczenia, obraz pospiesznie zakonserwowano, nawinięto na walec transportowy, zapakowano do skrzyni, obkładając trutkami na myszy, i 16 czerwca ewakuowano do klasztoru bernardynów we Lwowie.

Po wojnie Nikita Chruszczow postulował, aby Panoramę pociąć na kawałki, jednak Józef Stalin rozkazał, aby - jako „dar narodu ukraińskiego” - znalazła się w nowych granicach Polski. Polacy nie mieli złudzeń - we Wrocławiu mówiono, że „wielką łaskę nam Rosjanie robią, Lwów i Wilno zabrali, a Panoramę zwracają”.

Sowieci zdecydowali się przekazać Panoramę Raclawicką Polsce w lipcu 1946 roku. „Był to propagandowy zabieg, dokonany na czas powojennej walki o władzę” - napisał Wojciech Trębacz z wrocławskiego oddziału IPN w artykule „Obraz Panoramy Raclawickiej w obiektywie »bezpieki«”. Przypomniał, że po początkowym rozgłosie zapanowała cisza, a samo malowidło niszczało pozbawione przez wiele lat odpowiedniej konserwacji. Władze PRL nie miały zamiaru pokazywać obrazu, przedstawiającego tryumf wojsk polskich nad Rosją - nawet Rosją Katarzyny II.

Decyzję o publicznym wystawieniu Panoramy we Wrocławiu podjęto dzięki działalności zawiązanego po Sierpniu 1980 r. Społecznego Komitetu Panoramy Raclawickiej, pod przewodnictwem prof. Alfreda Jahna. W latach 1981-85 obraz przeszedł kompleksową konserwację i 14 czerwca 1985 r. - pierwszy raz od 41 lat - został zaprezentowany w specjalnie wybudowanej rotundzie projektu Ewy i Marka Dziekońskich. „Przemawiały różne ważne osobistości, nikt jednak nawet nie wspomniał o pięcioletnim trudzie Komitetu, nikt nie wymienił mojego nazwiska. No cóż, cała sprawa Panoramy była od początku nie na rękę komunistycznemu państwu i jego reprezentantom; ale skoro już została doprowadzona do końca, to woleli ten niechciany sukces wpisać na własny rachunek” - wspominał prof. Alfred Jahn. „Stałem daleko w tłumie, gorzko przeżywając arogancję i nikczemność całej tej sytuacji. Wtedy uświadomiłem sobie, że to przecież nie dla nich wskrzesiliśmy Panoramę Raclawicką - zrobiliśmy to dla siebie, dla naszych potomnych, dla Narodu” - napisał.

Ponowne otwarcie Panoramy przysporzyło zajęć Służbie Bezpieczeństwa. „Kontroli poddana została działalność tych biur podróży, które w swojej ofercie zbyt nachalnie proponowały zwiedzanie Panoramy. Szczegółowo kontrolowano pracowników i grupy turystyczne, notując ich wypowiedzi i prezentowane postawy. Do wiosny 1989 r. Panorama Raclawicka była dla SB miejscem potencjalnego zagrożenia demonstracjami antykomunistycznymi, a nawet kreowania takich postaw” - napisał Wojciech Trębacz. „Można przyjąć twierdzenie, że Panorama została rewindykowana w pełni dopiero wraz z końcem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej” - ocenił.

Paweł Tomczyk, Iwona L. Konieczna

PAP Nauka w Polsce

Tygodnik Polski 19.06.2024 • 7

Boney, Nap i spółka, czyli Bonaparte w anglosaskiej propagandzie

Andrzej Zbiegniewski

Przewrotny Albion wojował z Napoleonem głównie na dwa sposoby: pieniędzmi bez pokrycia i takimiż słowami. Za pierwsze kupował mięso armatnie, zaś przy pomocy drugich odczłowieczał przeciwnika. Zagłębiając się sukcesywnie w wiedzę o szeroko pojętej „napoleoniadzie”, zapomniałem już o tej prostej prawdzie. Nie, „zapomniałem” to określenie niewłaściwe. Raczej założyłem, iż upływ czasu skłonił Anglosasów ku rezygnacji przynajmniej z najoczywistszych przeinaczeń. Jak bardzo się myliłem, uświadomiła mi niedawna premiera pewnej hollywoodzkiej superprodukcji.

„Napoleon” w reżyserii Ridleya Scotta (lat 87; poprzednie filmy: „Pojedynek”, „Gladiator”, „Black hawk down”) wszedł na ekrany w aurze pełnego obiektywizmu, którym żadną miarą poszczycić się nie może – zarówno w opiniach widzów, jak i krytyków. Skalkulowany na ponad dwieście milionów dolarów obraz autorstwa sir Ridleya¹ za nic nie jest w stanie swymi „plusami przesłonić nam minusów”, których jest naprawdę sporo. Cytat ze skarbnicy „bareizmu” przywiódł mi na myśl wątpliwość, czy aby nie lepiej było nieco zmienić konwencję i powierzyć realizację filmu, jako komedii, na przykład Melowi Brookswi, zamiast parweniuszowi z pretensjami do wielkości. A że to wielkość mocno dęta, widać nawet po wyrywkowym skonfrontowaniu prawdy ekranu z prawdą czasu.

Największym i to permanentnym zgrzytem jest sam główny bohater, odtworzony przez niezłomnego adepta miernoty, Joaquina Phoenixa². Oglądanie tego wiecznego chłoptasia z szóstym krzyżykiem na karku w roli Bonaparte’go jest po prostu bolesne. Najwartościowszym akcentem filmu, poza batalistycznymi animacjami, mogłaby być obszerna sekwencja cesarskiej koronacji. Nie stało się tak i w tym wypadku, z powodu hołdowania propagandowym mitom, na czele z przytoczeniem kłamliwej, nigdy nie wypowiedzianej przez cesarza sentencji: „Odnalazłem w rymsztoku koronę Francji; wydobylem ją ostrzem szpady, by uwieńczyć me skronie (...)”.

Spśród około siedemdziesięciu bitew, przeważnie zwycięsko stoczonych przez „boga wojny”, film prezentuje ledwie fragmenty trzech. Na domiar złego nawet i one ukazane są w sposób uwłaczający skali napoleońskich triumfów. Powodem i tu są chorobliwe brytyjskie kompleksy. Szkoda, że reżyser tak utytułowany (choć mimo czterokrotnych starań Oscara w dorobku nie posiada) nie tylko bezkrytycznie je powieli, ale i na każdej konferencji prasowej prezentuje jako własne. Na podnoszone przy okazji uwagi z zakresu militariów, 87-latek z reguły gwałtownie protestuje, zamiast w pokorze przyznać, iż zaniebdał zatrudnienie kompetentnego konsultanta. Z tego względu prezentacja najobszerniej ukazanej bitwy pod Austerlitz, roi się od konfabulacji.

Po pierwsze, Francuzi nie mieli łątwo, gdyż w rzeczywistości nie nacierali z góry na dół, lecz odwrotnie, a do ataku stawali z otwartą przyłbicą, wcale nie kryjąc się (jak w filmie) w przesklepionych brezentem „tunelach vietkongu”. Nie mieli też przed sobą (jak w filmie) zaskoczonych przeciwnika, lecz jego szeregi w pełni gotowe do walki. Ponadto, napoleońskie wojsko wraz z



Bitwa pod Austerlitz, mal. François Gérard

jego polskimi formacjami, zwyciężyło pod Austerlitz, m.in. dzięki nowoczesnym szykom kolumnowym, a nie (jak w filmie) liniowym, w Wielkiej Armii od dawna już nie stosowanym. Podobnie jak kontrataki spoza polowych fortyfikacji, których pod Austerlitz w ogóle nie było. Ponadto żadna z walczących stron nie używała takiej ilości narodowych flag. Jednak akurat ten wymysł realizatorowi można od biedy złożyć na karb poprawiania orientacji widza w kwestii, kto jest kim w ogólnym oglądzie batalii.

Odwrot części pobitych wojsk rosyjsko-austriackich przez wody Satschanu wcale nie zakończył się masowymi utonieniami. Zacan, bo tak go wówczas najczęściej nazywano, był na dobrą sprawę nieco większym „oczkiem wodnym”, o głębokości zaledwie kilku dziesięciu centymetrów. Prawda, że w jego dennym szlamie utknęła większość austriackich armat, ale ludzie ucierpieli tylko nieliczni.

Dla obrony swych kulejących wizji, Scott wybrał metodę zgoła nie mniej kulawą. Jako przykład przytoczę jego wypowiedź dla „The Times”, gdzie nie przebiegając w słowach odpalił dziennikarzowi: - Każdemu krytykantowi z uniwersyteckim dyplomem zadaję pytanie: byłes tam? Nie? W takim razie zamknij k... mordę! Jest to przejaw tylko pozornego cwaniactwa, tyleż ordynarnego, co naciągane, oraz argumentacji wbrew pozorom łatwej do obalenia, choćby za pomocą tak obecnie popularnych grup rekonstrukcji historycznej. Ich walny zjazd na polach Austerlitz w dwusetną rocznicę bitwy podziwiał, wraz z licznie zaproszonymi gośćmi, polski historyk i dziennikarz, Andrzej Rafał Potocki. Z jego świadectwa godzi się przytoczyć co nieco w skrócie.

Dość szczegółowe (nie pierwsze i nie ostatnie) odtworzenie przebiegu bitwy sprzed dwóch wieków powiodło się w roku 2005 doskonale. Począwszy od aury, jak wtedy, śnieżnej i mroźnej. Uczestników zgłosiło się wystarczająco dużo, by nadać rekonstrukcji przestrzennej głębi i kolorytu. Niezliczone szeregi postępowały jedne za drugimi w kłębach dymu i imponującym huku armat. Na podstawie tych wprawek można było wyrobić sobie zdanie o geniuszu cesarza znacznie bardziej niż w oparciu o radosną twórczość imć Scotta.

Geniusz Napoleona niezwykle rzadko objawiał się jego bezpośrednim udziałem w walce, co rozważając, docieramy do kolejnej filmowej mistyfikacji, ukazującej wodza z bronią w ręku uczestniczącego w szarży pod Waterloo. Nic takiego nie miało oczywiście miejsca. Napoleon podjął co prawda próbę

eksperymentu, ostatniemu, pieszemu szturmowi Starej Gwardii, ale został przez wiarusów powstrzymany siłą. To właśnie niepowodzenie tego natarcia, w połączeniu z przybyciem Prusaków, przypięczętowało klęskę. Pomniejszych zafałszowań jest wiele, z konieczności pominię je więc milczeniem. Może poza jednym wyjątkiem... Chodzi o sekwen-

cję pamiętnego zamachu stanu z dnia 9.XI.1799 r. W rzeczywistości Bonaparte, wrogo przyjęty w Pałacu St. Cloud przez okupującą go „Radę 500”, został przez jej członków okrzyknięty „dyktatorem i przestępcą”, a nawet poturbowany do utraty przytomności (spowodowanej niedawnym wstrząsem mózgu przy upadku z konia). Z sali obrad ewakuowali go przyjaciele i gwardziści. W kinie zaś możemy zobaczyć go, wprost groteskowo zmykającego przed zbuntowanymi posłami i padającego po drodze na łeb na szyję, jak nie przymierzając Flip lub Flap, a nie „ten, któremu Bóg powierzył honor Francuzów”. Nikt inny, jak tylko zindoktrynowany anglosaski prymityw, może być zdolny do tak bezczelnego fałszowania historii.

Jedną z ulubionych maksym brytyjskich władców brzmi: „W czym przejawiają się sukcesy naszej polityki? W upadku innych krajów!”. Wraz z początkiem XIX wieku wyspiarscy karbonariusze żywili przekonanie, iż dla kontrolowania kontynentalnej Europy nie ma innej alternatywy, jak dezawuowanie na każdym kroku francuskich poczynań. Odnoszących sukces za sukcesem, zarówno na polach bitew, jak i PR-u (public relations). Ku przerażeniu rządzących Anglią „niewidzialnych” Francja, pomimo ich niemordowanego knucia, awansowała na stolicę nie tylko Starego Kontynentu, ale świata. Jej armia nowego typu³, etniczna otwartość, uniwersalizm Kodeksu Napoleona i wspieranie politycznych aspiracji Polski oraz innych państw sprawiły, że przy kleceni kolejnych antyfrancuskich koalicji protestancka Anglia mogła liczyć jedynie na siły czarnej reakcji z przeciwnej strony barykady. Dowiodły tego między innymi kampanie: włoska i iberyjska.

Jeśli więc nie o konfrontację łacińskiego katolicyzmu z wyspiarską herezją, to o co szło w istocie? Odpowiedź na to pytanie przynosi nam wypowiedź szkockiego dyplomaty. Ów gościnny obserwator⁴, po dokładnym spenetrowaniu wiktoriańskiego Londynu i okolic, notował z przerażeniem, wraz z przymusową protestantyzacją, władza promuje zwiększanie dziecięści. Plemię Anglosasów, tak onegdaj nieliczne, rozmnaża się w wieku XIX dynamicznie od Chińczyków. Niestety tylko pomiędzy sobą, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Stąd w ulicznym tłumie, nie tylko na East Endzie, uderzały mnie często twarze obarczone kazirodczym debilizmem. Zapewne w głębi tej przekłętej wyspy jest pod tym względem jeszcze gorzej. Taka forma przyrostu naturalnego jest w stanie przydać Anglii jedynie niewykwalifikowanych robotników, nic więcej. W toku kolonialnej

ekspansji, londyńskie slumsy wylewają w świat genetycznie zdegenerowane mioty... Dla Europejczyka mentalność angielska jest nie tyle niezrozumiała, co obrzydliwa. Język jak wiadomo oddaje charakter narodu. Tak jak w angielszczyźnie nie ma ścisłych reguł grammatycznych, tak Anglicy często nie trzymają się zasad moralnych. Wszystko podporządkowane jest własnemu interesowi. Nie ma honoru, nie ma lojalności, nie ma bezinteresowności. Jest mentalność ucłowieczonych zwierząt, ujawniona ostatnio znowu ludobójstwem wojny burskiej (...).”

Powyższe rozważania przywiodły mnie do sięgnięcia przy tej okazji do jednego z woluminów mojego księgozbioru będącego brytyjską monografią antynapoleońską satyry. Kolejne losy Bonaparte’go równie detalicznie co tendencyjnie wyśmiewane na jej kartach przez inżynierów dusz znad Tamizy. Znaczna część ich „dorobku” dotyczy wcześniejszych lat panowania Bonaparte’go. Przykładowo faktu, iż wiosną roku 1804 parlament uznał Pierwszego Konsula za dożywotniego i dziedzicznego cesarza Francuzów, zmieniając tym samym republikę w Cesarstwo. W związku z tym łamy rozmaitych londyńskich „Szpilek” wypełniają humorki ukazujące rekrutowanych ze społecznego awansu generałów republikańskich podczas przymierzania bogato inkrustowanych, dworskich uniformów. Dawni wersalscy dygnitarze biedzą się nad uwspółcześnieniem gali koronacji „mordercy księcia d’Enghien”. Papież ściągnięty ciupasem (niemalże „porwany”) z Włoch nie będzie miał innego wyboru, jak tylko posłusznie namaścić korsykańskiego łotra. Notoryczny postępowiec – czytaj: posłuszny woli Anglii – Beethoven usuwa spod Symfonii Heroicznej probonapartystowską dedykację. Te i wiele innych uszczypliwości, wyolbrzymień lub po prostu zwykłych kłamstw, prezentują obraz definitywnego rozbratu cesarskiej władzy z ideałami Rewolucji, którą do niedawna w Londynie wściekle zwalczano. Satyra roztacza przed przerażonymi czytelnikami, na przykładzie „sprostytuowanej przez Francuzów Polski”, perspektywę ogólnoeuropejskiego bezhołwia pod butem małego kaprała. Była to oczywiście angielska twórczość tylko do użytku wewnętrznego. Kontynentalna Europa śmiała się nie z niej, lecz z prostackiej naiwności twórców.

Kolejny humorek ilustruje zgon Republiki. Nad spoczywającym na marach ciałem piersiastej rewolucjonistki w czapce frygijskiej czuwają medycy. Pierwszy pyta: co się stało? Drugi objaśnia: niedawno miała się doskonale; nieudany poród, zmarła wydając na świat małego uzurpatora. Bohaterem sąsiedniego komiksu jest „Mały Boney” (przynajmy, dość głupawe to angielskie przezwisko), za trudem wytrzymujący ciężar ogromnej korony, wydartej widmu Ludwika XVI - ofiary rewolucji. W następnych edycjach cyklu humoresek „Boneya” zastępuje postać o jeszcze bardziej bezsensownym pseudonimie: „Nap”. Napoleon ukazany jest między innymi jako niepojętny uczeń (aktora, Jacquesa Talmy) profesora władczych manier.

Niżej, Nap z nietęgą miną kłęczący przed obliczem papieża. W następnej odsłonie, odziany w ogrodniczy kombinizon, zawzięcie kopie szpadlem w parku doły pod rodzinne drzewa genealogiczne. Przy innej okazji, tym razem jako piekarski czeladnik, wydobywa z pieca na łopacie świeżo upieczonych ministrów oraz marszałków. Zdarza się też, że Nap mówi. Kiedy, szukając aprobaty u dawnego towarzysza broni, pyta go o opinię na temat koronacji, ów odpowiada: - Podobała mi się nad wyraz,

Boney, Nap i spółka, czyli Bonaparte w anglosaskiej propagandzie

Cd. ze str. 8

Wasza Cesarska Mość. Szkoda tylko, że nie zaproszono na nią trzystu tysięcy tych, którzy położyli głowy za to, by takich ceremonii już nigdy nie było.

Przyznają Państwo, że humor to niezbyt wysokiego lotu. Pominięta przeze mnie reszta jest jeszcze słabsza. Tak naprawdę całe te wypociny, prokurowane na zamówienie polityczne, nie wynikały ani z przekonani autorów, ani z zapotrzebowania społecznego czy też z ubolewania nad „śmiercią rewolucji”. Brały się bowiem ze zwykłego strachu. Z obawy angielskiego imperializmu o zagrożone interesy i utratę kontroli nad niepokornym, kontynentalnym hegemonem. Szpiedzy, na żołądce premiera Williama Pitta, donosili o energicznych przygotowaniach Francuzów i ich sojuszników (w tym Polaków) do przekroczenia kanału La Manche. Sprzymierzona marynarka wojenna Francji i Hiszpanii z powodzeniem kontynuowała od niemal roku blokadę Albionu, na co mógł on odpowiedzieć jedynie zainicjowaniem nowej koalicji, złożonej głównie z germańskich najemników, gotowych za odpowiednią gratyfikacją do wyciągnięcia z ognia brytyjskich kasztanów. Rozkwit Cesarstwa groził wyspiarzom zepchnięciem do defensywy, a co gorsza marginalizacją zbliżoną do tamtej, z epoki Karola Wielkiego. Wieniec laurowy wykuty ze szczerzego złota, którym Napoleon, wyręczając Ojca Świętego, ukoronował się sam, całkiem świadomie przypominał antyczne insygnia raczej niż dziewiętnastowieczne korony.

Potrafiąc czytać między wierszami, Anglicy zainicjowali dyplomatycznie - szpiegowsko-militarne ożywienie w stosunkach z tradycyjnymi partnerami dwóch dotychczasowych koalicji, w tym z zaborcami Polski: Austrią, Rosją i Prusami.

Zanim koronacja w katedrze Notre-Dame dobiegła końca, szczeni londyńscy księgowi wyekspediowali pod adres 10 Downing Street ukończony kosztorys nowego, antyfrancuskiego (i antypolskiego) przymierza. Cała fura złotych funtów szterlingów, na którą on opiewał, wydała się premierowi Pittowi

sumą i tak niewygórowaną, w zamian za udaremnienie napoleońskiego forsowania Kanału i inwazji Wysp. Rozpętlając kolejną europejską wojnę, Anglicy jak zwykle nie upierali się przy wiarygodnym pretekście. Poprzednie dwie toczono przecież pod sztandarem „ukarania republiki królobójców”, natomiast dla najnowszej wydumano hasło zgoła groteskowe: „pokonać cesarstwo uzurpatora”.

Bez względu na powyższe ani szmerane interesy angielskich podżegaczy wojennych, ani Trafalgar, ani złośliwość wyspiarskich pismaków – niezdolna, jak się okazało, wywołać w angielskim społeczeństwie przyzwolenia na wojnę – w najmniejszym stopniu nie wpłynęły na splendor i rangę paryskiej ceremonii, celebrowanej w niedzielę 2 grudnia 1804 r. W tłumie głów państw, dyplomatów, arystokratów, generalicji... ściągających ze wszech stron Europy znalazł się niemały kontyngent nadwiślański. W jego składzie wyróżniał się między nimi generał Wincenty Krasiński. Już wkrótce twórca i głównodowodzący polskich lekkokonnych, Szwoleżerów cesarskiej gwardii, którzy całkiem niedługo, zwycięsko przeciwstawiają wrogim knowaniom bezprzykładną odwagę i poświęcenie, przechodząc do historii (nawet angielskiej) jako „najdzielniejsi z dzielnych i najodważniejsi z odważnych”.

Andrzej Zbiegniewski

1) *Standard uszlachcanych obecnie w Zjednoczonym Królestwie prostaczków jest symptomatyczny.*

2) *„Phoenix” to pseudonim wszystkich, nieutalentowanych latorośli państwa Bottomów (pol. „Dno” lub „Pupa”); największym ich wkładem w hollywoodzki etos jest nadużywanie, ze skutkiem śmiertelnym, najcięższych narkotyków znanych ludzkości.*

3) *Zarzucenie przez Bonapartego salonowych reguł walki oraz szybkie awansowanie utalentowanych żołnierzy bez względu na pochodzenie.*

4) *M. Jałowicki „Na skraju impe-*

„W TOBIE PANIE ZAUFAM...”

Niedzielny ranek, 2 czerwca, nie wróżył ładnej pogody. Na szczęście przynajmniej padać przestało. Tylko rozległe kałuże, w których przegładaly się jeszcze bure chmurzyska, zostały świadkami burz i ulew, jakie nawiedziły Sydney poprzedniej doby.

Tymczasem w Marayong, na terenie Polskiego Ośrodka miała się odbyć doroczna procesja Bożego Ciała. O przygotowaniu Czterech Ołtarzy poprzedniego dnia, jak czyniono to w latach ubiegłych, nie można było nawet marzyć. Porywisty wiatr rozszarpałby wszystko, czego jeszcze by nie zmyły kaskady lejającej się z niebios wody.

Całą misterną pracą ustawiania i dekorowania Ołtarzy, aby godnie przyjąć Chrystusa, należało wykonać tuż przed nabożeństwem. Wtedy zaistniała realna nadzieja, że procesja się odbędzie. Pracę sprawnie wykonano. Oczom Polaków nadjeżdżających z całej sydneyjskiej metropolii ukazały się Cztery Ołtarze, pięknie udekorowane malowidłami, kwiatami, cytatami z Pisma św.

Tuż przed godz. 14.30 kościół był już pełen. Pierwsze ławki zajęła bracia harcerska oraz członkowie zespołów folklorystycznych. Dopisały wszystkie – „Kujawy”, „Lajkonik”, „Podhale” i „Syrenka”. Po obydwu stronach ołtarza stanęły sztandary. Weszli Kapłani, aby koncelebrować uroczystą Mszę św.

Wiernych, którzy wypełnili całą świątynię, powitał ks. Prowincjał Grzegorz Gawęł SChr, główny organizator uroczystości. Celebransem liturgii został ks. Senior – Józef Kołodziej SChr, który wykonał to posłannictwo rewelacyjnie.

Z prawdziwą satysfakcją widać było młodzież aktywnie włączającą się w liturgię słowa. Niełatwy tekst z Księgi Wyjścia Starego Testamentu bezbłędnie, z doskonałą dykcją, przeczytała, ubrana w krakowski strój, Marysia Bilińnicz. Jej młodszą siostrą, Julia, także krakowianką, wykorzystała na chwałę Bogu swój bezsprzeczny talent muzyczny i umiejętności wokalne w odśpiewaniu wszystkich zwrotek psalmu responsoryjnego.

Przeznaczoną na święto Bożego Ciała ewangelie odczytał poprzedni, wieloletni Prowincjał, obecnie duszpasterz Ashfield, ks. Tadeusz Przybylak SChr.

Przejmujące, a jakże cenne słowa Homilii wygłosił ks. Prowincjał Grzegorz Gawęł:

[...] Kardynał François Van Thuan, przez 13 lat więzień wietnamskiego, komunistycznego reżimu, tak opisuje swoje więzienie: „W obozie reedukacyjnym podzieleni byliśmy na pięćdziesięcioosobowe grupy; spaliliśmy na jednym posłaniu, każdy miał prawo do pięćdziesięciu centymetrów przestrzeni. Zdołaliśmy tak się zorganizować, że wraz ze mną było pięciu katolików. O godzinie 21.30 trzeba było zgasić światło, wszyscy musieli iść spać. W tym momencie zginałem się na łóżku, aby z pamięci odprawić Mszę świętą, i rozdawałem Komunię świętą, wsuwając rękę pod moskitierę. (...)”

Co tydzień odbywała się sesja indoktrynacyjna, w której musiał uczestniczyć cały obóz. Przerwy wykorzystywałem na to, aby podać Komunię osobom z pozostałych grup więźniów: wszyscy wiedzieli, że Jezus był wśród nich. Nocą więźniowie na zmianę adorowali Najświętszy Sakrament (...) Nigdy nie zdołałem wyrazić mojej wielkiej radości: codziennie, używając trzech kropel wina i kropli wody, ukrytej w dłoni, odprawiałem Mszę świętą. To był mój ołtarz, to była moja katedra.

Wino organizowali mi katolicy strażnicy więzienia. Bez kielicha, bez pateny.

W jednej dłoni trzymałem krople wina, w drugiej okruchy chleba. To był kielich, patena i ołtarz. Tak przez 13 lat.”

To wstrząsające świadectwo jakże głęboko wpisuje się w naszą dzisiejszą uroczystość. **Dzisiaj nasze spojrzenie skupia się na Sakramencie, w którym Chrystus pozostawił całego siebie: Ciało, Krew, Duszę i Bóstwo. Dlatego ten Sakrament był zawsze uważany za Najświętszy Sakrament - żywa pamiątka odkupieńczej Ofiary.**

W uroczystości Bożego Ciała wszyscy powracamy do dnia, który od wieków nazywany jest «Wielkim Czwartkiem» - dnia, w którym Odkupiciel po raz ostatni przed swoją męką obchodził Paschę z uczniami: była to Ostatnia Wieczerza - żydowska Pascha i pierwsza Eucharystia.

Dlatego Kościół już przed wiekami ustanowił osobne święto, by obchodzić uroczystość Bożego Ciała. Jest to święto **adoracji, kontemplacji i uwielbienia**. Święto, podczas którego Lud Boży gromadzi się wokół **najcenniejszego daru pozostawionego nam przez Chrystusa, wokół Sakramentu Jego obecności i wielbi Go, chwali w pieśniach, niesie Go w procesjach ulicami miast i wsi.**

Jak pisał papież Jan Paweł II: „Ten dar rodzi bowiem bezgraniczny zachwyt i wdzięczność. Ten dar przewyższa wszystko chwałą. Oto wzniosła i niepojęta tajemnica. Tajemnica, przed którą stajemy zdumieni i milczący, w postawie głębokiej, ekstazy, kontemplacji”.

W jednej z najbardziej znanych pieśni śpiewamy: „Przed tak wielkim Sakramentem upadajmy wszyscy wraz”. W świętej Eucharystii jest prawdziwie obecny Chrystus, który dla nas umarł i zmartwychwstał. W konsekrowanym Chlebie i Winie pozostaje wśród nas ten sam Jezus z Ewangelii, którego spotkali apostołowie i za którym poszli, którego widzieli ukrzyżowanego i zmartwychwstałego, którego ran dotknął Tomasz, po czym oddał Mu cześć, wołając: «Pan mój i Bóg mój!»

W Sakramencie ołtarza dane jest nam kontemplować z miłością całą głębię tajemnicy Chrystusa, Słowo i Ciało, Jego Boską chwałę i «mieszkanie» między ludźmi. Stając przed nim nie możemy wątpić, że Chrystus jest Emmanuel, czyli Bogiem «z nami».

Znów, jak nauczał Jan Paweł II: „Tym chlebem karmimy się, aby stać się prawdziwymi świadkami Ewangelii. Tego chleba potrzebujemy, aby wzrastać w miłości, gdyż ona jest niezbędna, byśmy mogli rozpoznać oblicze Chrystusa w twarzach braci.”

Eucharystii potrzebuje każda dusza. Ale potrzebuje jej także każda społeczność i wspólnota. Po co? Aby móc iść ciągle do przodu. W stronę nieba. Eucharystia przypomina nam, że wciąż można zaczynać od nowa, od Chrystusa. To wielki dar. Idźmy zatem odważnie za Chrystusem eucharystycznym naprzód, nie szcędząc sił, troszcząc się o jedność w łonie naszej wspólnoty i z miłością oddając się pokornej i bezinteresownej służbie wszystkim, zwłaszcza najbardziej potrzebującym. (...)

Tak jak zapowiedziano, po Mszy św. uformowała się Procesja. Jakby na przekór pochmurnemu niebu całe otoczenie Kościoła zakwitło wielokolorowym tłumem młodzieży: Wielkopoleanie, Krakowiaci, Górnicy i Górale – Krakowianki, Łowiczanki. Ślązaczki i Kujawianki – w ogromnej rozpiętości

Cd. na str. 10

Tygodnik Polski 19.06.2024 • 9

Ból i samotność po stracie tak bliskiej osoby niech złagodzi
prawda, że nie umiera ten, kto pozostaje w sercach bliskich ...



Najszczęśliwsze wyrazy współczucia żonie, córkom, rodzinie i przyjaciołom

śp. Adama Drahana

składają

prezydium, dyrekcja i pracownicy

Federacji Polskich Organizacji w Wiktorii

oraz Polskiego Biura Opieki Społecznej „PolCare”

„W TOBIE PANIE ZAUFAM...”



Boże Ciało - Marayong 2.06.24



Boże Ciało - Marayong 2.06.24



Boże Ciało Marayong 2-6-2024



Boże Ciało - Marayong 2-6-2024



Boże Ciało - Marayong 2-6-2024

wiekowej – od parolatków, po już dorosłych młodych. Wszyscy pogodni, ale ze skupieniem przeżywający istotę mającej nastąpić Procesji. Dorodni Krakowiacy dźwierzą drzewce baldachimy, by przy kolejnym Ołtarzu podzielić się tym zaszczytem ze Ślązakami w paradnych górnicznych strojach.

Ze śpiewem „Twoja cześć, chwała, nasz Wieczny Panie” procesja wyrusza do Pierwszego Ołtarza. Ten ołtarz, który już na stałe wpisał się w architekturę Polskiego Ośrodka, ufundowała społeczność parafialna z Cabramatty, zainspirowana przez śp. Krystynę Cyroń. Teraz udekorowany kwiatami oraz biało-czerwonymi wstęgami Ołtarz czekał na wizytę Chrystusa.

Pierwszą część Procesji Eucharystycznej poprowadził ks. Antoni

Dudek. – Kielich Przymierza to Krew Zbawiciela – powtarzali wierni refren Antyfony.

Słowa Ewangelii wg św. Mateusza o ustanowieniu Najświętszego Sakramentu, podczas Ostatniej Wieczerzy, błogosławieństwo i rozpoczęcie Suplikacji – Święty Boże. Następnie z pieśnią – „U drzwi Twoich” – Procesja wyruszyła do Drugiego Ołtarza. Monstrancję niósł ks. Tadeusz Przybylak – duszpasterz ośrodków Ashfield, Maroubra i Kirribilli.

Refren - Pokarmem z nieba Pan swój lud obdarzył - stanowił wprowadzenie do Ewangelii, bo cudu rozmnożenia chleba dotyczyły odczytane przez ks. Tadeusza przy tym Ołtarzu słowa Ewangelii wg św. Marka.

- Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas Panie. – Jakże prawdziwie, w obliczu aktualnej geopolityki, brzmiały

słowa kolejnej strofy Suplikacji.

Monstrancję wziął do rąk powtórnie ks. dr Antoni Dudek (ks. Edmund Budziłowicz korzysta z urlopu). Procesja eucharystyczna, ze śpiewem „Bądźże pozdrowiona, Hostio Żywa” wolno ruszyła w kierunku Trzeciego Ołtarza. „OTO WIELKA TAJEMNICA WIARY” głosił napis na szczycie ołtarza. To dzieło parafian z Bankstown. Ks. Antoni odczytał Słowa Ewangelii wg św. Łukasza. Opowiadały o tym, jak Zmartwychwstały Chrystus dołączył do zmierzających w kierunku Emaus Uczniów, a oni Go nie poznali.

- Od nagłej a niespodziewanej śmierci, zachowaj nas Panie – brzmiała trzecia zwrotka Suplikacji. Monstrancję ujął teraz w dłonie ks. Prowincjał Grzegorz Gaweł, aby poprowadzić Procesję do Czwartego Ołtarza. Stąpając po dy-

wanie z kwiatów sypanych przez krakowianki, Procesja, ze śpiewem „Jezusa ukrytego mam w Sakramencie czci” powoli zdążyła w stronę kościoła.

Czwarty Ołtarz wykonany przez wspólnotę z Marayong stanął przy wejściu do świątyni. „POZNALI GO PO ŁAMANIU CHLEBA” – przypominały widoczne z daleka słowa.

Na rozległym placu przed świątynią, u stóp Czwartego Ołtarza, zgromadzili się wszyscy uczestnicy Procesji. Po jednej stronie cała asysta – ministranci, akolici, siostry zakonne, poczty sztandarowe i bracia harcerska. Tuż obok wielobarwna grupa dzieci i młodzieży w przepięknych, oryginalnych strojach wielu regionów Polski. Obok, ciągle jeszcze gęstniejący tłum uczestników Procesji.

- My grzeszni, Ciebie Boga prosimy,

Koszuty – Nagroda „Izabella 2023” za gabinet PAWŁA EDMUNDA STRZELECKIEGO

Pod patronatem Marszałka Województwa Wielkopolskiego Fundacja Muzeów Wielkopolskich ogłosiła XXII edycję Konkursu na Wydarzenie Muzealne Roku „Izabella 2023”. Do konkursu przystąpiło 60 muzeów współzawodniczących w różnych kategoriach.

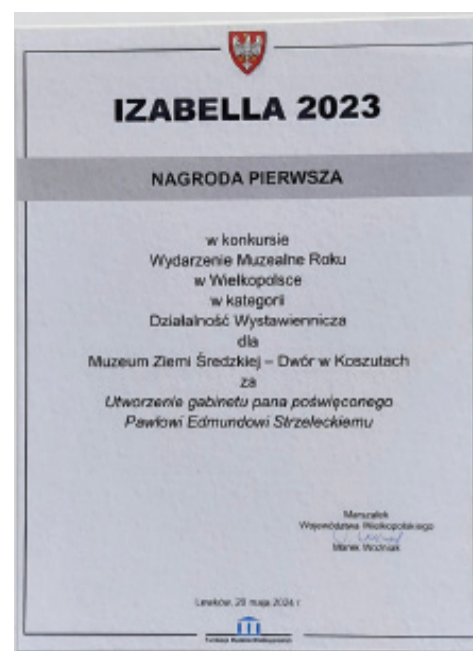
Muzeum Ziemi Średzkiej „Dwór w Koszutach” przystąpiło do konkursu w kategorii **Działalność Wystawiennicza** i uzyskało pierwszą nagrodę za utworzenie **Gabinetu Pana poświęconego PAWŁOWI EDMUNDOWI STRZELECKIEMU**.

24 maja br. w Zespole Pałacowo-Parowym w Lewkowie zwycięzcom kon-

kursu wręczono pierwsze nagrody i wyróżnienia. Zainteresowani zebrali się na galowej prezentacji, gdzie marszałek województwa wielkopolskiego, Marek Woźniak, uhonorował ich nagrodami i dyplomami.

Fundacja Muzeów Wielkopolskich została zainspirowana postacią Izabelli Czartoryskiej (1745-1835), zasłużonej kolekcjonerki dzieł sztuki i twórczyni pierwszych polskich muzeów, „Świątynia Sybilli” oraz „Dom Gotycki” w Puławach, które dały początek Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

Marysia Thiele



Cd. ze str. 9

wysłuchaj nas Panie – brzmiała kończąca prośba Suplikacji. Potem wspaniały hymn – „Ciebie Boga wysławiamy” – wszystkie czternaście wersów, aż do zakończenia „... Tobie Panie zaufałem, nie zawstydzę się na wieki!”.

Następnie aklamacja - Spraw to, nasz Ojczy, byśmy byli jedno - i słowa Czwartej Ewangelii wg św. Jana dotyczącej jedności Chrześcijan.

Nadszedł kulminacyjny moment Błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem. Skłoniły się w hołdzie sztandary. Zgięły się kolana wiernych, nisko pochyliły oszronione wiekiem głowy. Kapłan uniósł wysoko Monstrancję i czyniąc znaki Krzyża Św., przekazywał błogosławieństwo Chrystusa na wszystkie cztery strony świata. Jaśniała Złocista Monstrancja na tle pochmurnego nieba, świecąc jak drogowskaz, jak

morska latarnia, wskazująca bezpieczną drogę we współczesnym, pełnym pułapek świecie...

Duchowa część uroczystości została zakończona. Wszyscy otrzymali zaproszenie ks. Prowincjała do Sali Św. Jana Pawła II. Stamtąd już unosił się zapach smakołyków polskiej kuchni, jakie przygotowały nieocenione członkinie Koła Pań. Tuż po regenerującym się smacznym posiłku, Pani Jola Żurawska zaprosiła na występy artystyczne wspaniałych czterech Polskich Zespołów Folklorystycznych: „Lajkonika”, „Kujaw”, „Podhala” i „Syrenki”.

Zapadł już wczesny, bo australijsko-zimowy zmrok, kiedy uczestnicy tej pięknej uroczystości Bożego Ciała opuszczali teren Polskiego Ośrodka w Marayong. Zaczął się lekki deszczyk. Na asfalcie lśniły jeszcze wielobarwne



płatki kwiatów, znacząc ślady Procesji, która przed paroma godzinami, prowadzona przez Kapłanów, podążała za Chrystusem w drodze do Czterech Ołtarzy.

Marianna Łacek OAM
Foto: Henryk Igliński

Dieta i nastrój – czy żywienie wpływa na ryzyko lęków i depresji?

Badania wskazują, że wybory żywieniowe mogą mieć pewne przełożenie na zagrożenie depresją i stanami lękowymi. Niewłaściwe jedzenie może oddziaływać na zdrowie psychiczne m.in. poprzez wywoływanie stanów zapalnych.

Cukier i trójglicerydy mogą sprzyjać depresji

Wysoki poziom glukozy oraz trójglicerydów we krwi podnosi długofalowe ryzyko pojawienia się depresji – wynika z opublikowanej niedawno analizy ponad dziesięcioletniej obserwacji 200 tys. mieszkańców Szwecji. Pierwszy pomiar stężenia różnych związków z dietą składników krwi wykonano u nich w wieku 42 lat.

Jak się okazało, wysoki poziom glukozy średnio o 30 proc. zwiększał zagrożenie depresją, stanami lękowymi i zaburzeniami związanymi ze stresem. Wysokie stężenie trójglicerydów oznaczało 15-proc. wzrost ryzyka. Tymczasem zagrożenie spadało o 12 proc. przy wysokim poziomie lipoproteiny o wysokiej gęstości (potocznie mówi się o tzw. dobrym cholesterolu – HDL). Ryzyko rosło też przy ogólnym wyższym stężeniu cholesterolu, a także apolipoproteiny A i B. Wyniki były podobne u mężczyzn, jak u kobiet, choć warto zaznaczyć, że prawie 90 proc. uczestników stanowili mężczyźni.

„W tym obszernym, populacyjnym, podłużnym badaniu kohortowym stwierdziliśmy, że podwyższony poziom glukozy i trójglicerydów oraz obniżone stężenie HDL-C wiążą się z

wyższym ryzykiem późniejszej diagnozy depresji, stanów lękowych a także zaburzeń związanych ze stresem. Analiza ta dostarcza dalszych dowodów, że deregulacja metaboliczna lub zespół metaboliczny zwiększa ryzyko rozwoju powszechnych zaburzeń psychicznych” – podsumowują autorzy, naukowcy z międzynarodowego zespołu m.in. ze szwedzkiego Instytutu Karolinska.

Czy osoby na diecie śródziemnomorskiej rzadziej mają objawy depresji?

W ubiegłym roku zespół z University of Melbourne sporządził przegląd badań dotyczących związków między jakością diety a stanami lękowymi i zaburzeniami depresyjnymi. Jak twierdzą eksperci, był to pierwszy systematyczny przegląd badań w pełni sprawdzających działanie diety u osób ze zdiagnozowaną depresją lub zaburzeniami lękowymi.

Według autorów opracowania dało się zauważyć silne dowody na to, że przestrzeganie diety śródziemnomorskiej wiąże się z rzadszym występowaniem objawów depresyjnych. Zastrzegają przy tym, że nie udało im się stwierdzić wpływu tej diety na rozwój klinicznej depresji i zaburzeń lękowych ani dającego się jasno wykazać wpływu przestrzegania państwowych zaleceń żywieniowych.

„Wyniki sugerują potencjał diety śródziemnomorskiej jako niedrogiej, bezpiecznej i łatwo modyfikowalnej metody uzupełniającej istniejące terapie depresji. Zbadanie biologicznych

mechanizmów, które mogą napędzać te zależności, będzie kluczowe dla planowania skutecznych interwencji” – podsumowują naukowcy.

Prozdrowotne składniki ograniczają objawy lękowe

Z kolei metaanaliza poświęcona samym zaburzeniom lękowym przeprowadzona przez ekspertów z różnych kanadyjskich ośrodków wskazała na związki między dobrą dietą i mniejszym ryzykiem tego rodzaju problemów.

Wyniki opracowania, które objęło ponad 1,5 tys. badań, sugerują korzystne działanie ogólnie tzw. zdrowych stylów żywienia, w tym włączania do diety owoców i warzyw oraz nienasyconych kwasów tłuszczowych omega-3, ograniczenia liczby kalorii w diecie i jedzenia śniadań. Naukowcy stwierdzili także korzyści płynące z tzw. diety ketogenicznej oraz suplementowania diety mikroelementami (głównie cynkiem, magnezem i selenem) i probiotykami. Natomiast duże ilości tłuszczu i węglowodanów, niedostatek produktów bogatych w tryptofan (jeden z aminokwasów), zbyt mała ilość białka i generalnie żywienie według tzw. niezdrowych diet oznaczały podwyższone ryzyko stanów lękowych.

„Mimo że wyniki tego przeglądu dotyczą dziedziny, która jest poddawana wstępnym badaniom i nadal się rozwija, nasze obserwacje są zgodne z dotychczasowymi ustaleniami na temat zdrowych wzorców żywieniowych. Istnieją dowody na związek między korzystnymi wzorcami żywieniowymi i redukcją stanów lękowych. W przypadku braku przeciwwskazań, takich jak alergię czy specyficzny stan medyczny, interwencje dietetyczne można uważać za obarczone niskim ryzykiem, opłacalne strategie, które mogą przynosić korzyści wykraczające poza fizyczne aspekty zdrowia” – piszą autorzy metaanalizy.

Co stoi za szkodliwym oddzia-

nowotworu, a co za tym idzie - miejsca napromieniania.

Chłodzący hydrożel zamiast wody utlenionej i rywanolu

Małgorzata Chmielak, farmaceutka, przewodnicząca Komisji Nauki i Szkolenia w Okręgowej Izbie Aptekarskiej, nie ukrywa, że do aptek trafia coraz więcej pacjentów po radioonkoterapii. - Farmaceuta to trochę taki lekarz pierwszego kontaktu. Pacjent wchodzi do apteki i oczekuje profesjonalnej pomocy. (...) Jeśli pacjent ma na skórze odczyn typu pierwszego, kiedy to skóra jest bardzo gorąca, najważniejsze jest chłodzenie zaraz po zabiegu. - Dlatego pacjent powinien mieć hydrożel na zabiegu radioterapii. (...) Nie można dopuścić, by pacjent używał starodawnych środków jak: mleczan etakrydyny (red. rywanol) czy nadtlenek wodoru (red. woda utleniona).

Przed leczeniem onkologicznym dentysta to konieczność

Dr Dorocie Kiprian najbardziej brakuje w organizacji procesu leczenia pacjenta w trakcie radioterapii ujednolicenia procedur leczniczych. - Jestem prezesem Polskiego Towarzystwa Terapii Wspomagającej w Onkologii „Ocalić jakość życia”. Zawodowo zajmuję się głównie nowotworami głowy i szyi i ich powikłaniami w jamie ustnej. Powołałam kiedyś grupę specjalistów od tych powikłań: stomatologów, paradontologów, dermatologów, onkologów, chirurgów szczękowych. Po wielu latach pracy zrobiliśmy rekomendacje „Ocalić uśmiech”, które przyjeły się wśród onkologów w całej Polsce. Nie było wcale oczywiste, żeby pacjent

Żywianiem niektórych stylów żywienia?

Naukowcy odkrywają już również mechanizmy, które mogą kryć się za opisanymi związkami. Według metaanalizy przeprowadzonej na chińskim Uniwersytecie Medycznym Hebei istotne mogą być tu m.in. stany zapalne. Naukowcy przeanalizowali 17 badań obejmujących prawie 160 tys. osób, aby sprawdzić związki między depresją i lękami a tzw. potencjałem zapalnym diety, czyli stopniem, w jakim – według obecnej wiedzy – dany styl żywienia sprzyja stanom zapalnym w organizmie.

Coraz więcej badań wskazuje, że długotrwałe zapalenia o niskim nasileniu powodują różnorodne problemy zdrowotne (<https://zdrowie.pap.pl/dieta/przewlekle-zapalenia-cichy-zabojca>). W porównaniu do uczestników, których żywienie miało najmniej prozapalne działanie, osoby praktykujące styl odżywiania najbardziej sprzyjający zapaleniom były o 45 proc. bardziej zagrożone depresją i o 66 proc. – stanami lękowymi.

Znaczenie miała też płeć. Najgorzej odżywiające się kobiety były zagrożone depresją o 49 proc. bardziej niż te przestrzegające dobrej diety, a lękami – o 80 proc. W przypadku mężczyzn różnice te wyniosły odpowiednio 27 i 47 proc.

„Oznacza to, że długoterminowe wzorce żywieniowe o działaniu przeciwzapalnym mogą zapobiegać depresji i lękom, podczas gdy style żywieniowe o działaniu prozapalnym mogą sprzyjać występowaniu tych stanów” – piszą naukowcy. Przypominają jednocześnie, po jakie składniki warto sięgać.

„Ludzie powinni wprowadzać do swojej diety więcej ryb i ich tłuszczu, świeżych owoców, orzechów włoskich i brązowego ryżu” – twierdzą.

Marek Matacz
zdrowie.pap.pl

Radioterapia konieczna, a skutki uboczne można skutecznie łagodzić

Ok. 90 proc. chorych onkologicznie przejdzie napromienianie. W żadnym razie nie należy bać się radioterapii - ratuje życie, choć nie da się ukryć, że mieści skutki uboczne. Ale mogą być lżejsze, gdy pacjent wie, co go czeka, oraz to, że na napromienioną skórę nie stosuje się przeżytków jak np. rywanol czy spirytus salicylowy. Ważna jest też odpowiednia dieta!

Radioterapia, jak każde leczenie, może mieć skutki uboczne. Jeśli pacjent jest w rękach ludzi kompetentnych, może bezpiecznie przejść przez kolejne naświetlania. Warunkiem sukcesu jest jego zaangażowanie w leczenie. - Ale z tym wszystkim możemy sobie poradzić – zapewnia dr n. med. Dorota Kiprian, onkolog, radioterapeuta z Narodowego Instytutu Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie – Państwowego Instytutu Badawczego.

Prehabilitacja, czyli przygotowanie do radioterapii

Dr Kiprian jest entuzjastką prehabilitacji. W warszawskim Centrum Onkologii dzięki jej staraniom jest ta procedura wdrożona. - Przeprowadzamy z pacjentem rozmowę, w czasie której jest dokładnie informowany, na czym polega cały proces radioterapii. Odbywa spotkanie z psychologiem, z żywieniowcem, z fizjoterapeutą. Jeśli w trakcie radioterapii pacjent jest w stanie ćwiczyć, nie dochodzi do większych zwłóknień tkanki podskórnej. Chory musi mieć również wyjaśnione, jak pracują nowoczesne, kosmiczne aparaty, które pod-

ają za ruchem oddechowym, za nowotworem, musi wiedzieć, dlaczego jest unieruchomiony, czemu służy maska orfitywa (red. specjalna maska unieruchamiająca z masy plastycznej, która ma zapewnić odtwarzalność ułożenia i tym samym precyzyjnego trafiania w guz nowotworowy przez promieniowanie). Pacjentki po operacjach piersi muszą wiedzieć, że wstrzymany wdech w trakcie napromieniania chroni serce, uczone są oddychania.

Skutki uboczne radioterapii

Na skórze może pojawić się odczyn popromienny: albo nasilony albo mniej nasilony, w zależności od dawki promieniowania i od tego, czy leczenie jest skojarzone z chemioterapią. Duże znaczenie mają takie czynniki, jak choroby współistniejące, wiek, rodzaj nowotworu i miejsce napromieniania.

Skórę należy zawsze przygotować do radioterapii, co nazywa się jej kondycjonowaniem. Dr Kiprian opowiada, że w Instytucie Onkologii w Warszawie ten proces odbywa się w pokoju przygotowań. Technicy informują pacjenta, co może stosować przed rozpoczęciem radioterapii. Pacjent słyszy też zalecenia, jak ma zachowywać się w trakcie radioterapii ze skórą napromienioną, żeby odczyn popromienny był mniejszy.

Jeśli – co zdarza się na szczęście nie zbyt często – dochodzi do poparzeń typu III, czyli przerwania ciągłości skóry i IV, kiedy pojawia się owrzodzenie, pacjenci koniecznie powinni zgłaszać się do zespołu lekarsko-pielęgniarskiego, żeby nie dorowadzić do zakażeń bakteryjnych i grzybiczych. Ryzyko wystąpienia takich powikłań zależy od bardzo wielu czynników, w tym rodzaju

po radioterapii poszedł do dentysty. Takich standardów brakuje, jeśli chodzi o inne skutki uboczne radioterapii dotyczące opieki nad skórą, błonami śluzowymi całego przewodu pokarmowego, nie tylko jamy ustnej. One muszą być ujednolicone w całej Polsce. Bo dziś w każdym ośrodku lekarze zalecają co innego. Jeszcze do niedawna było przeciwnie, że skóry napromienianej nie myjemy. To bzdura! (...) Lekarzka boleje, że większość usług stomatologicznych w Polsce jest prywatna. A napromieniania nie można zacząć bez tzw. sanacji jamy ustnej (red. kompleksowe wyleczenie zębów i przyzębia), bo późniejsze powikłania czasem prowadzą do martwicy zuchwy, co bardzo boli wiąże się z okaleczającym leczeniem.

Magdalena Sawicka podkreśla, że leczenie poparzeń III i IV stopnia jest leczeniem długotrwałym. Zależy od rodzaju skóry oraz chorób współistniejących, na które cierpi pacjent. - Cukrzyca nasila rany i trudno je goić. Pojawiają się problemy metaboliczne. Dlatego tak ważny jest dobór białka, bo ono leczy. (...) Dla niej jako pielęgniarki leczącej rany po radioterapii również bardzo ważne jest ujednolicenie procedur, rekomendowanie odpowiednich opatrunków, maści, środków do danego typu odczynu III i IV stopnia. Bo przy odczynie I i II wystarczy chłodzenie, natłuszczenie i unikanie opalania.

Beata Igielska
zdrowie.pap.pl

Artykuły publikowane w dziale „Szlachetne Zdrowie” mają charakter wyłącznie informacyjno-edukacyjny i nie mogą zastąpić konsultacji lekarskich.

OD EUROPODÓW DLA ANTYPODÓW

Popularne Eurolegandy

SYRENIE ŚPIEWY

WARSAWA ma ich wiele: w swym herbie, na pięciu pomnikach, na taksówkach, autobusach i na tramwajach, na filarach mostów, w licznych bramach kamienic - dlatego od Warszawy zaczęły się.

Legandy o Syrence Warszawskiej – Dawno, dawno temu, w Morzu Bałtyckim żyły sobie liczne złotowłose półkobiety, półryby, pływające się w morskich wodach i śpiewające rybakom w czasie połowów. Jedną z nich, ciekawa świata, któregoś dnia postanowiła popłynąć w górę Wisły. Płynęła, płynęła, aż dopłynęła do dolin Mazowsza, w podwarszawskie zakola. Warszawa była w tamtych czasach skromną osadą rybacką, jej mieszkańcy jednak bardzo ją lubili. Uroczą, złotowłosa Syrenka postanowiła przeto tu osiadnąć, w wiślanych głębinach, i wynurzając się z nich umilać warszawskim rybakom czas swym śpiewaniem. Ci wkrótce Syrenkę polubili. Stało się niestety, że jakiś chciwy, zazdrościwy rybakom warszawski rajca, zaczął się na brzegu, zarzucił na Syrenkę sieć, a obezwładniwszy ją, uprowadził do swojej willi, gdzieś pewnie pod Otwockiem, a może Wołominem. Zaczął obwozić biedulę po mazowieckich targowiskach, zmuszając ją do śpiewania, za co kupcy nie Syrence, lecz jemu płacili. Kres owej korupcyjnej sytuacji – i skądże my to znamy? – położyli młodzi rybacy, którzy pospół otoczyli chciwca, rzetelnie wymłócili go kijami po grzbiecie, żeby do końca życia odechciało się mu śpiewaczkę z rybimi ogonami, a warszawską Syrenkę uwolnili. Ta z wdzięczności postanowiła na zawsze pozostać w Warszawie i tu śpiewać swym pięknym głosem rybakom, a ponieważ rybaków w Warszawie dziś już nie ma i pewnie nie będzie, przeto w syrenie śpiewania wsłuchują się kolejni prezydenci stołecznego miasta Warszawy, a w cieniu ich wielgachnych, nietoperzowych skrzydeł, setki innych municypalnych urzędników. Proszę się nie irytować. Tak samo dzieje się we wszystkich miastach i osiedlach, dokąd dopłynęły Syrenki.

Według innej legendy, to nie chciwy warszawski rajca uwięził Syrenkę, lecz uczynić to mieli rybacy, którzy schwytała ją w swe sieci, jakie zarzucili na biedulę, kiedy wyszła na piaszczysty, wiślany brzeg tam, gdzie obecnie stoi jej pomnik na Powiślu, chcąc nieco odpocząć – za to, że swym śpiewaniem płoszyła im ryby. Zamkniętą w najpotężniejszej baszcie zamku w Czersku uwolnił dowódca strażników, albowiem jej śpiewanie niezmiernie się mu spodobało. Jeszcze jedna legenda głosi, że Syrenka, płynąc po wiślanych wodach, doprowadziła swym śpiewaniem zagubionego w czasie łowów księcia Siemomysła do chaty, gdzie zamieszkiwał małżeństwo, któremu niedawno urodziła się para bliźniąt: Wars i Sawa. Z wielkiej wdzięczności książę założył na owym miejscu gród i nazwał go Wars-Sawą, czyli dzisiejszą Warszawą, zaś w jego herbie umieścił wizerunek Syrenki.

Warszawska Syrenka postanowiła poważnie zająć się broniem mieszkańców polskiej stolicy. W swe lewe ramię ujęła okrągłą tarczę, prawą zaś ręką uchwyciła miecz. W takiej formie przedstawia się ją na warszawskich pomnikach, a także w herbie Warszawy. **Pomnik Syrenki, tych wolno stojących, zobaczyć można w Warszawie pięć.** Ten najstarszy znajduje się na rynku Starego Miasta, w miejscu, gdzie dawniej stał stary, warszawski ratusz, rozebrany w r. 1817. Sam posąg Syreny, wynurzającej się z wody i trzymającej prawą ręką umiesiony nad głową miecz, zaś na lewym ramieniu dzierżącej okrągłą

tarczę, żeby skutecznie bronić mieszkańców Warszawy mieczem, a siebie tarczą zasłaniać przed atakami pazernych ratuszowych urzędników, chcących wysysać z jej wizerunku wszystkie krople życiodajnego osocza, zaprojektował Konstanty Hegel. Pierwszy pomnik warszawskiej Syrenki uroczystie odsłonięto 7.VIII.1855 r. W wolnej, demokratycznej Polsce nad Syrenką poczęli znęcać się wyzwoleni młodzieńcy, ochlapując ją sprayowymi farbami. W 2008 r. oryginalną Syrenę zdjęto z cokołu i uchowano w Muzeum Warszawy, gdzie schlapać jej sprayem nie sposób, zaś na warszawskim Starym Rynku stanęła jej mosiężna kopia. Dobrzeż i to.

Nadszedł rok 1902. Zarząd Miasta Warszawy zatwierdził projekt nowego mostu nad Wisłą ze Starego Miasta, **od ulicy Karowej** do centrum Pragi. Plan sporządzili inżynierowie Karol Sommer, Stefan Szyller i Jan Woydyga. Przy wjeździe na most z ulicy Karowej postanowiono ustawić pomnik warszawskiej Syreny, tym razem twardo stojącej na swym rybnym ogonie. Rzeźbę w r. 1905 wykonał Jan Woydyga. W r. 1939, **na krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej, na warszawskim Powiślu, nieopodal filaru Mostu Świętokrzyskiego,** stanął ponad czterometrowej wysokości brązowy pomnik warszawskiej Syreny, dłuta Ludwika Nitschowej, już trzeci w polskiej stolicy. Ten doprawdy prezentuje się okazale i dostojnie na tle wiślanych fal, w otoczeniu zieleni.

Już po drugiej wojnie światowej przybyły Warszawie jeszcze dwa wolno stojące pomniki Syrenki. Przy ulicy **Grochowskiej, na skwerze przed Urzędem Dzielnicy Praga Południe,** napotkamy pomnik wykonany w 1957 r. przez Jerzego Chojnackiego, rzeźbiarza i uczestnika Powstania Warszawskiego. Ta Syrenka początkowo stała sobie spokojnie na Placu Przymierza (Saska Kępa), ale w r. 1968 przeniesiono ją na obecne miejsce, a żeby tu mogło podziwiać ją więcej petentów zmierzających do urzędu owej prawobrzeżnej dzielnicy Warszawy. Na swą **ostatnią figurę Syrenki** czekali warszawczycy do r. 1964. Jest ona dziełem artysty, Ryszarda Kozłowskiego, a znajduje się w **Parku Mirowskim,** za Żelazną Bramą. Oto i cała piątka wolno stojących warszawskich Syren.

Syrenie płaskorzeźby w Warszawie. Tych nie sposób zliczyć, zdobną one bowiem wiele filarów ocalałych z wojennej pożogi warszawskich mostów, portali kamienic, a też obiektów publicznych, a nawet sakralnych. Pozwolę sobie wymienić z tej grupy zaledwie cztery płaskorzeźby, te najbardziej emblematyczne. W r. 1947 Aleksander Żurkowski ozdobił **balustradę ław poselskich Sejmu** Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (aktualnie Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej) płaskorzeźbą z wizerunkiem polskiego herbu narodowego, w który wkomponował warszawską Syrenkę. Ta więc z konieczności przysłuchuje się wszystkim posiedzeniom niższej izby polskiego parlamentu, czasem do łez się zaśmiewając, innymi razy odkładając na bok miecz i tarczę, żeby w rozterce załamywać ręce. Taki już los biedulce przypadł. Inną Syrenę, przy najbliższej wyprawie do Warszawy napotkają nasi czytelnicy u wejścia do **dawnej Remizy Tramwajowej, przy ulicy Inżynierskiej.** Ta o wiele jest radośniejsza od owej sejmowej, nie musi bowiem z na wpół zwiędniętymi uszami wsłuchiwać się w bełkotanie „Wybrańców Narodu”. Tej Syrenie wystarczy szacunek motorniczych, ci przecież, zaszadając za tramwajową korbą, o wiele skuteczniej zaspokajają potrzebę wysta-

wyższego na przystanku warszawiaka, niżli którykolwiek z wybrańców swą uduchowioną, proroczą paplaniną. A skoro już dotrą Państwo do nadwiślańskiej Warszawy, gorąco zachęcam do prześlapania się do ulicy Koszykowej, też w centrum stolicy. To przy niej znajdują Państwo **Zespół Stacji Filtrów,** u wejścia ozdobiony płaską Syreną autorstwa Jana Golińskiego. Pochodzący z Łopusznej koło Nowego Targu rzeźbiarz, Wojciech Czerwos, ozdobił warszawską Syrenką budynek **Liceum Ogólnokształcącego im. Bolesława Prusa,** przy ulicy Zwycięzców na Saskiej Kępie.

Syrena to również małowitrazowy samochód osobowy, produkowany w latach 1957–1972 w Fabryce Samochodów Osobowych w warszawskiej dzielnicy Żerań, później zaś, do r. 1983, w Fabryce Samochodów Małowitrazowych w Bielsku Białej. W procesie produkcji wzorowano się na niemieckim aucie DKW. W dniu 30 czerwca 1983 r. z taśmy produkcyjnej FSM w Bielsku Białej zjechała ostatnia dostawcza *Syrena Bosto* z numerem 521311 – toż to oszołamiący sukces powojennego polskiego przemysłu motoryzacyjnego! W r. 1983 liczba ludności Polski wyniosła blisko 36 i pół miliona. Jeśliby wówczas podzielić tę liczbę przez liczbę wyprodukowanych aut tej marki, wyszłoby na to, że co siedemdziesiąty Polak nabył Syrenę(!). Mnie osobiście najbardziej podobała się Syrena 100, jej obszerne drzwi bowiem otwierały się nie do przodu, lecz ku tyłowi, pod wiatr, wbrew wszelkiej logice! Oto, dlaczego syrenie auto tak mi się spodobało. W Otrębusach koło Brwinowa, w Muzeum Motoryzacji i Techniki zobaczyć można warszawskie i bielskie Syreny.

Chyba nikt nie zdoła policzyć wszystkich warszawskich Syrenek, jest ich bowiem bez liku, na samych taksówkach ponad dwadzieścia siedem tysięcy. Do nich proszę doliczyć półtora tysiąca miejskich autobusów, ponad czterysta składów tramwajowych, ponad pół setki pociągów metro, a do tego jeszcze dwadzieścia składów Szybkiej Kolei Miejskiej – wszystko to z Syrenkami na bokach karoserii oraz wagonów. **Warszawa, stolica Polski, bez wątpienia jest najbardziej usyrenionym miastem świata.** Podczas drugiej wojny światowej **Warszawska Syrena dotarła nawet za granicę Polski, do Wielkiej Brytanii.** Oto w r. 1944 generał Władysław Sikorski odznaczył VII Królewski Pułk Huzarów (*7th Queen's Own Hussars Regiment*) za pomoc polskim żołnierzom w bitwie z Niemcami o włoską Ankonę medalem Syreny. Od tamtej pory Brytyjczycy nosili naszytą na rękawach swych mundurów naszywkę z wizerunkiem Syrenki z tarczą i mieczem.

BIELSKO-BIAŁA jest jeszcze jednym syrenim miastem w Polsce. Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy postanowił uhonorować podbeskidzkie miasto, fundując mu figurę warszawskiej Syreny z głębokiej wdzięczności za wyjątkowo aktywny udział bielszczan w odbudowywaniu zniszczonej wojną polskiej stolicy. Uroczą fontannę z figurą warszawskiej Syreny, usytuowaną aktualnie przy ulicy 3 Maja, zaprojektował bielski artysta Ryszard Sroczynski. Mieszkańcy Podbeskidzia, a też przybywający do Bielska Białej goście, podziwiać ją mogą i fotografować od roku 1954.

ŁÓDŹ również chlubi się fontanną ozdobioną figurą Syreny, w jej wypadku Łódzkiej. Ta w r. 1961 stanęła w samym centrum miasta, na alei Artura Rubinsteina. Łódzka Syrenka jest dziełem rzeźbiarza, Edwarda Nowickiego, pochodzącego z Jekaterynosławia (dzisiejszy Dniepr na wschodzie Ukrainy). Łódzka Syrenka spokojnie wypoczywa na kamieniu, wspierając się na prawym ramieniu.

MRĄGOWO, jedno z miast województwa warmińsko-mazurskiego, też

ma swoją Syrenę. Figurę Mrągowskiej Syrenki wykonał z brązu żyjący do dziś belgijski rzeźbiarz, Philippe Brodzki, syn polskich emigrantów. Mrągowską fontannę, znajdującą się na ulicy Polskiego Czerwonego Krzyża, uroczystie inaugurowano 7 lipca w 2007 r. Więcej Syrenek na razie w Polsce nie znalazłem. * * *

SYRENKA W PAŃSTWIE DUŃSKIM – Podobno Syrena Warszawska miała aż pięć sióstr, jak ona córek króla mórz Neptuna, z którymi razem nurzała się w głębinach Bałtyku. Neptunowe córki wychowywała ich babka, matka bowiem zmarła przy porodzie najmłodszej, tej najpiękniejszej. Babcia opowiadała syrenim wnuczkom o życiu na ziemi, o ludziach oraz ich miastach na brzegach morza i wielkich rzek, rozbudzając w nich naturalną ciekawość. Obiecywała przy tym, iż kiedy dorosną, będą mogły wynurzać się z głębin i same przyglądać się ludziom, choć życie pośród nich nie zdołają, gdyż nie mają nóg, zamiast nich natomiast rybie ogony. Dorósłszy, Neptunowe córki opuszczały morskie głębinę – każdego roku jedna. Ich drogi rozchodziły się w różnych kierunkach od Bałtyckiego Morza. Najstarsza popłynęła w górę Wisły i na dobre zadamowiła się w Warszawie, inna dotarła do Bielska-Białej, ta trzecia do Łodzi, czwarta do Mrągowa, jeszcze jedna zaś do litewskiego Wilna. Pozostała ostatnia, ta najmłodsza i najpiękniejsza spośród całego sekstetu.

Mała Syrenka z bałtyckich głębin wynurzyła się prawdopodobnie gdzieś pomiędzy duńskimi wyspami Bornholm i Sjaelland (Zelandia). Było pod wieczór. Akurat przepływał tamtędy wielki żaglowy okręt. Wynurzywszy się z wodnej otchłani uroczą Mała Syrenka zaraz dostrzegła na jego pokładzie pięknego księcia, stojącego na dziobie i przez lunetę obserwującego okolicę. Podpłynęła bliżej. Uroczy książę również ją zauważył i milutko się do niej uśmiechnął. To wystarczyło. Mała Syrenka od pierwszego wejrzenia, bez pamięci się w nim zakochała. Niestety owej nocy złe moce nasłały na cieśninę Skagerrak straszliwą burzę. Nad ranem rozszalałe fale rzuciły książęcego okręt na przybrzeżne skały i roztrzaskały go o nie. Zginęła cała załoga; książę zdołał się uratować, choć fale porwały go z pokładu i rzuciły w spienioną otchłani. Od niechybnej śmierci uratowała księcia Mała Syrenka, nadludzkim wysiłkiem doholowując go do miejsca zwanego Langelinie. Tu musiała pozostawić go na brzegu, ponieważ, nie mając nóg, nie mogła odciągnąć go dalej w głąb lądu. O poranku rannego i sporniewieranego księcia napotkała przechodząca tamtędy młoda dziewczyna, wzywając pomoc, która uratowała mu życie. Ocalały z katastrofy książę zapamiętał uroczą Syrenkę, niestety nie mógł się z nią spotkać, ta bowiem ponownie przepadła w bałtyckich głębinach. Tam babcia zapoznała ją z czarownicą, która zamieniła jej rybi ogon na słiczne nogi, w zamian jednak ucinając język i odbierając jej przepiękny głos. Po wyjściu na ląd Mała Syrenka zdała sobie sprawę z tego, że wszystko to wydarzyło się zbyt późno. Książę ożenił się z dziewczyną, która na brzegu uratowała mu życie. Mała Syrenka z wielkiej rozpaczyci rzucając się w bałtycką otchłani, zamieniła się w morską pianę i w takiej formie już na zawsze pozostawała. Przetrawiła po niej jedynie owa legenda, którą pozwoiliłem sobie nieco ubarwić, ku umileniu lektury naszym Czytelnikom.

W r. 1837 mieszkający w Odense duński pisarz i poeta, Hans Christian Andersen, autor wielu baśni dla dzieci, wydał opowieść zatytułowaną **Den lille Havfrue (Mała Syrenka),** a w niej barwnie opisał losy duńskiej Syrenki, której starsza siostra na dobre zadamowiła się

w Warszawie. Baśń Andersena od razu spotkała się z życzliwym przyjęciem i wielkim zainteresowaniem. Wkrótce też na jej podstawie powstało kilka utworów scenicznych, między nimi balet do muzyki Fini Henriquesa, którego premiera miała miejsce w r. 1903 w *Det Kongelige Teater* (Teatrze Królewskim) w Kopenhadze. Obecny był na niej Carl Christian Jacobsen, syn Jacoba Christiana, założyciela słynnego kopenhaskiego browaru Carlsberg, wraz z żoną Ottilią. Przedstawienie tak dalece go zachwyciło, iż postanowił ufundować Małej Syrence pomnik, a o pozowanie do niego poprosił baleriny, Ellen Price, odtwórczynię głównej roli w balecie. Ta początkowo wyraziła zgodę, ale kiedy artysta rzeźbiarz, Edvard Eriksen, oznajmił jej, iż pozować będzie musiała nago, odrzuciła propozycję i ostatecznie pozowała artyście jedynie do wyrzeźbienia głowy z estetycznie upiętymi włosami. Gołe ciało Małej Syrenki artysta Eriksen rzeźbił, wpatrując się w ciało roznegliżowanej własnej małżonki Eline. I tak oto w kopenhaskim porcie, na nabrzeżu Langelinie, usadowiła się na wielkim kamieniu *Den Lille Havfrue*, *kopenhaska Mała Syrenka*. Inaugurowano ją uroczysto w sobotę 23 sierpnia 1913 r. Wkrótce stała się znaną na całym świecie symbolem stolicy Danii.

Popularność Małej Syrenki zdecydowanie wzrosła na całym świecie, kiedy na ekrany kin weszły filmy oparte na fabule baśni Hansa Christiana Andersena, a zwłaszcza „The Little Mermaid” (*Mała Syrenka*) wyprodukowany w r. 1989 w studiach Walta Disneya, wyreżyserowany przez Rona Clementsa. Wkrótce po rozpoczęciu jego wyświetlania w niektórych miejscach na świecie powstały kopie kopenhaskiej Małej Syrenki. Doszukałem się ich pięciu. Trzy z nich zobaczyć można w **Stanach Zjednoczonych** (w kalifornijskim **Solvang**, w hrabstwie Santa Barbara, w **Greenville**, w stanie Michigan, i w **Kimballton**, Iowa). Japończycy usadowili Małą Syrenkę w **Osace**, zaś Rumuni w **Piatra Neamț**, uroczym mieście w Karpatach, na północnym wschodzie swojego kraju.

Sześć syrenich córek bałtyckiego króla Neptuna (zbudowano mu prześliczną fontannę w Gdańsku) udało się w różne strony świata. Wymieniłem cztery - te, które osiedliły się w Polsce (Warszawa, Bielsko Biala, Łódź i Mrągowo), gdzie swym urokiem oraz śpiewem zachwycają miejscowych, a też przybyszów, oraz tę piątą, Małą Syrenkę z Kopenhagi, która duńską stolicę rozślawiła na cały świat. Brakuje nam jeszcze jednej Syrenki, córki gdańskiego króla Neptuna. Tę znajdziemy na wschodzie przylegających do Morza Bałtyckiego krajów, na terenie Litwy.

SYRENKA WILEŃSKA jest najmniejsza ze wszystkich figur Neptunowych córek. Swe gniazdko uwiła sobie dopiero w 2002 r. w **Użupis**, **prawobrzeżnej dzielnicy Wilna**, dzielnicy artystów, swym charakterem nieco przypominającej kopenhaskie **Fristaden** Christiana (Wolne Miasto Christiana), powstałe 20 września w 1971 r., z własną flagą, herbem oraz konstytucją przyjętą 2 lutego 1978 r. (ciekawostka: w poniedziałek 1 kwietnia 2024 Rada Wolnego Miasta Christiana przyjęła uchwałę zabraniającą handlarzom narkotyków uprawiania swojego procederu na ulicy Pushergade, najważniejszej w wolnym mieście artystów). Wileńska dzielnica Użupis, położona naprzeciw wileńskiego Starego Miasta, nad rzeką Vilnelė, czyli Wilejką (słowo Użupis w języku litewskim oznacza Zarzecze), w dniu 1 kwietnia 1998 r. ogłosiła się **Użupio Res**

Publika (Republiką Užupis). Podobnie jak Wolne Miasto Christiana posiada swoje insygnia, a oprócz nich emituje własną walutę, jedynie w banknotach o nominalnie 1 EuroUża, do tego posiada własne siły zbrojne w liczbie co najwyżej dwudziestu ołowianych żołnierzyków. W Prima Aprilis, 1 kwietnia 2002 r., Użupio Res Publika przyjęła własną konstytucję (41 jednozdaniowych, króciutkich artykułów, z których niemal wszystkie mówią o prawach mieszkańców Użupskiej Res Publiki).

Postać Syrenki z Użupis wykonał w r. 2002 litewski artysta rzeźbiarz Romas Vilčiauskas.

Figura Syrenki z rozwianymi przez wiatr włosami twardo stała na swym rybim ogonie na nabrzeżu Wilejki, nieopodal Użupis Tiltas (Mostu Użupis), wspierając się o nadbrzeżny, ceglany mur. Niewiele pomogło jej to w czasie powodzi w 2004 r., kiedy to dziko szalejące wody Wilejki zabrały ją stamtąd. Syrenkę znaleziono w rzece po kilku dniach, zaczepioną włosami o przybrzeżną kępę. Odrestaurowaną, ponownie umieszczono na nabrzeżu Wilejki w Użupis, gdzie stoi do dziś.

I NIEMCY MAJĄ SWOJĄ SYRENE – Do NRF, czyli Niemieckiej Republiki Federalnej (tak wówczas w Polsce owo państwo nazywano), po raz pierwszy wraz z małżonką pojechaliśmy niemal cztery dziesiątki lat temu, jesienią r. 1984. Przez jakiś czas mieszkaliśmy w nadreńskim Bad Honnef – mieście, z którego pochodził powojenny kanclerz, Konrad Adenauer. Którejś soboty nasi niemieccy znajomi zabrali nas samochodem na wycieczkę wzdłuż Renu do uroczego miasta Rudesheim am Rhein, pokazując nam po drodze słynne zamki pobudowane na brzegach owej wielkiej rzeki, niemal wszystkie do dziś znajdujące się w rękach prywatnych. Można wszak było na tyle blisko do nich podejść, by je sfotografować, co też skwapliwie czyniliśmy, nie szczędząc kliszy.

Sankt Goarhausen jest niewielkim nadreńskim miasteczkiem w kraju związkowym Nadrenia-Palatynat, położonym na prawym brzegu Renu, na granicy z Hesją. Ma zaledwie 7 km² powierzchni i w minionym roku liczyło niespełna 1300 mieszkańców. Sankt Goarhausen posiada za to dwa średniowieczne zamki, oba z XIV stulecia: **Burg Katz** (*Zamek Kot*) i **Burg Maus** (*Zamek Mysz*). O cóż chodzi? Ano chodzi o to, że jeszcze pod koniec XII w. Fryderyk I Barbarossa, cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego, pochodzący z okolic palatynackiego Kaiserslautern, przyznał szlachecki tytuł grafa (hrabiego) swemu wiernemu rycerzowi Katzenelnbogen (literalnie znaczy to Koci Łokieć) i nadał mu ziemie na prawym brzegu Renu. Na skalistym brzegu rzeki hrabia wkrótce wzniósł zamek, nazywając go swoim imieniem. Trzeba trafić, że tereny owe upodobał sobie arcybiskup Trewiru, Bohemund z Saarbrücken, i też rozpoczął w Wellmich, zaledwie o półtora dzisiejszego kilometra od zamku Katzenelnbogen, wznoszenie swojej rezydencji, w odpowiedzi na co hrabia znacznie rozbudował i umocnił swoje zamczysko, od teraz nazywając je Neukatzenelnbogen (Nowy Katzenelnbogen). Ród hrabiowski postanowił przejąć kontrolę nad wszelkimi ruchami trewirskich arcybiskupów po Renie, polując na pływające po rzece ich okręty, niczym kot poluje na myszy (hrabiów Katzenelnbogen dla ułatwienia nazywano Kotami), ale nigdy nie zniszczył arcybiskupiego zamku. To w tamtych czasach oba rywalizujące zamczyska nazwano Burg Katz (Zamek Kot) i Burg Maus (Zamek Mysz), co miało odzwierciedlać panujące tu stosunki. Pod koniec XVI stulecia, z powodu narastających nastrojów reformacyjnych, arcybiskupstwo Trewiru opuściło Burg Maus. Z początkiem

XX stulecia, na zlecenie Daimler-Benz ze Stuttgartu, Zamek Mysz odbudował architekt, Wilhelm Gärtner. Dziś mają w nim schronienie ptaki łowne (orły, sokoły i sowy) – w okresie letnim urządzi się w Mysim Zamku pokazy ich lotów. Najważniejszą jednak jest w owych nadreńskich okolicach Syrena.

Loreley, Syrena z Sankt Goarhausen miała osiedlić się w tych okolicach na długo przed hrabiami Katzenelnbogen oraz arcybiskupami Trewiru. To ona kontrolowała wszelkie barki, którymi po Renie spławiano najróżniejsze towary. Wedle prastarej germańskiej legendy uroczą dziewczyną o imieniu Loreley zdradzona została przez swojego umiłowanego. Zadany jej cios okazał się dla niej tak okrutny, że nie zdołała go przeżyć i z wielkim żalu odebrała sobie życie, rzucając się z blisko dwustumetrowej skały w wodną otchłań Renu i w niej utonęła. Zaraz jednak została tam, w głębinie, zamieniona przez dobre wróżki w Syrenę o pięknym głosie. Od owego czasu Syrena Loreley, która potrafiła też przepięknie wygwizdywać różne melodie, dniami i nocami wysiadywała na urwistej skale, której nawet użyła własnego imienia, albo na cienkiej mierzei pod nią na Renie, i swym śpiewaniem albo gwizdaniem przykuwała uwagę sterników, którzy, zasłuchani, często wpadali na przybrzeżne skały i roztrzaskiwali o nie swoje barki. Głosi inna legenda, że pewien srogi armator postanowił zemścić się i nasłał na Loreley oddział najemnych żołnierzy, aby ją zgładzili. Ta jednakże, zmieniając się w białego konia utworzonego z morskiej piany, przywiodła za sobą swym śpiewem wojaków aż do końca reńskiej mierzei, gdzie powpadali do wody i sami się potopili.

Reńska Syrena stała się bohaterką utworów literackich, a też muzycznych. Najślynniejszy o niej poemat, zatytułowany *Die Loreley*, napisał Heinrich Heine. W r. 1841 Franz Liszt raczył skomponować pieśń *Die Loreley* z podkładem fortepianowym. O Lorelay śpiewali Ella Fitzgerald oraz grupy *Cocteau Twins*, *The Scorpions*, *Blackmore's Night*, *Voivod*, *Ne Obliviscaris* i *Theatre of Tragedy*. Jeszcze jedna z legend powiada, iż w skale Loreley swój skarb zakopali Nibelungowie.

Skałę Loreley każdego roku odwiedza ponad 200 tys. turystów. W dawniejszych czasach ja też woziłem do Loreley moje grupy. Na skałę można spokojnie, choć po krętej drodze wjechać samochodem, a też autobusem, by móc stamtąd podziwiać przełom Renu przez wulkaniczne pasmo gór Eifel. Na górującej nad Renem skałę, otoczona sklepikami z pamiątkami, stoi sobie statua Syreny Loreley dłuta berlińskiej rzeźbiarki, Valerie Otte. Jeszcze inny pomnik reńskiej Syreny, tym razem dzieło artystki, Nataschy Aleksandrownej, stanął na samym końcu mierzei znajdującej się w wodach Renu, u podnóża skały Loreley. Ta druga jest golusienka.

NAWET W HISZPANII ZNAJDĄ SIĘ SYRENY. Oj, i w tym miejscu zostaną nasi Czytelnicy zaskoczeni. Oto krajem, w którym wzniesiono najwięcej wolno stojących syrenich pomników jest Hiszpania, znajduje się ich tu bowiem aż dziesięć - przynajmniej tyłu sam się doszukałem. Teraz wszystkim je opiszę, ku przykrości naszym Czytelników. Cztery hiszpańskie Syreny można zobaczyć w Galicji, w prowincjach A Coruña, Lugo i Pontevedra, jedną w Andaluzji (prowincja Málaga), po jednej na Balearach (Minorka) oraz w Kantabrii i jeszcze dwie w Katalonii. Spróbuję wszystkie owe Syreny uszeregować wedle porządku alfabetycznego.

ANDALUZJA – Od r. 2000 nabrzeże wzdłuż Avenida de las Naciones Unidas

w **Puerto Banús (Marbella)**, w prowincji Málaga, ozdabia estetyczna figura Syreny. Rok wcześniej wykonał ją z granitu i białego marmuru kordobański rzeźbiarz, Antonio Cañete. Jego Syrena zasiada na kamieniu. Głowę ma schyloną do kolan, a długie, proste, marmurowe włosy opadają jej do samych stóp.

BALEARY - Chodzi konkretnie o wyspę **Minorka (Menorca)** i o jej stolicę **Maó (Mahón)**. Ta Syrena, której nadano imię **Mô** (tak mieszkańcy wyspy w miejscowym dialekcie języka katalońskiego wymawiają nazwę swojej stolicy), została wykonana z brązu, w r. 1991 przez Leonarda Lucarini, bałkijskiego artystę z Bilbao. Mierzy 17 cm, ma zatem wymiary kobiety. Stoiw porcie, na nabrzeżu Costa den Reunes, u góry piedestału, po którego stopniach chętni mogą ku figurze podejść, żeby się z nią fotografować. Syrena Mô stała się wielką atrakcją stolicy Minorki.

GALICJA – Na jej terenie zobaczyć można aż cztery żeńskie Syrenki. Wspomnę najpierw tę z **Ares w prowincji A Coruña**, portowego miasta, zamieszkanego przez niewiele ponad 6 tys. ludności. Naprzeciw miasta, u ujścia rzeki Riera de Ferrol do Oceanu Atlantyckiego, usadowiły się trzy, na stałe niezamieszkałe, ale możliwe do odwiedzenia wysepki, zwane As Mirandas: A Miranda Grande, A Miranda Pequena i A Mirandaña. Na malowniczej plaży A Miranda Grande ulokowała się Serea das Mirandas, czyli Syrena z Mirandas. Legenda powiada jednak, że potrafi przemieszczać się po wszystkich trzech wysepkach, a też odwiedzać Ates i nawet rozmawiać z rybami i mewami. Inną niezamieszkaną galicyjską wysepką, na której znajduje się pomnik Syreny, jest **Illa Sálvora**, oddalona o trzy kilometry od miejsca, gdzie do Atlantyku uchodzi Ría de Arousa, w prowincji A Coruña, w okolicach miasta El Grove. Na wysepce stoi sobie pomniczek **Syreny z Sálvora**, owiany niezwykłą legendą. Ta powiada, że Roland, siostrzeniec Karola Wielkiego, nie zginął w bitwie na przełęczu Roncesvalles. Ciężko ranny, dotarł na swym koniu do Galicji i leczył swe rany na wysepce Illa Sálvora. Któregoś poranka, okrążając na koniu wysepkę, natknął się na leżącą pośród kamieni zranioną, śliczną dziewczynę. Kiedy udzielał jej pomocy zobaczył, że zamiast nóg ma rybi ogon. Zapytał o imię. Syrena nie odpowiedziała, była bowiem niema. Złe wiedźmy odebrały jej głos za to, że swym śpiewaniem doprowadziła Rolanda z Pirenejów w te okolice. Dzielnym rycerz, zakochawszy się w boskiej Syrenie z wysepki Sálvora, miał nadać jej imię Mariña. **Trzecią z galicyjskich Syren znajdziemy w San Cibrao** w prowincji Lugo, na północnym wybrzeżu Galicji. Podobno tamtejsza Syrena, której nadano imię A Maruxaina, zamieszkuje w okazałym podwodnym pałacu, w którym zazwyczaj otrzymuje informacje o nadchodzących znad Atlantyku burzach. Uprowadza o nich tych rybaków, którzy ją polubili, tamtych zaś, którzy na nią polują, pozostawia na pastwę morskich żywiołów, Czwartą galicyjską Syrenę zobaczyć można w **Cangas de Morrazo**, w prowincji Pontevedra. Niewielką statuetkę wykonano z brązu. Rzeźba nazwana O Galeón przedstawia Syrenę ciągnioną przez dwa delfiny do odległego kraju – tradycja powiada, że do Flandrii.

KANTABRIA – Ta Syrena na swą siedzibę obrała uroczysko Santander, stolicę Kantabrii. Na półwyspie Magdalena, w północnej części miasta, imponującą Syrenę zamontowano na dziobie atrapy okrętu, na którym do kontynentu amerykańskiego dopłynął Juan de la Cosa, który podobno w r. 1500 sporządził pierwszą mapamundi (mapę świata) z półkulą zachodnią.

Dr Wojciech Kiełczyński

MD, PhD, NIMH (UK)

**Specjalista Profilaktyki i leczenia ziołami
uprzejmie informuje,
że jego klinika w Ashburn
Telefon (03) 9885 5252**

**BĘDZIE NIECZYNNA
od 20 maja do 12 lipca 2024 r.**

KANCELARIA ADWOKACKA PIETRZAK SOLICITORS

RYSZARD PIETRZAK
832 HIGH STREET, Kew East, Vic. 3102
TEL. (03) 9249 9617

UDZIELAM POMOCY we wszystkich rodzajach prawa, włączając kupno i sprzedaż domów, ziemi i interesów (*businesses*), testamenty (*wills*) i sprawy sądowe dotyczące testamentów, pełnomocnictwa (*Powers of Attorney*), transakcje handlowe, dzierżawy itd. **MÓWIĘ PO POLSKU**

KALENDARZYK IMPREZ POLONIJNYCH

Federacja Polskich Organizacji w Wiktorii.
Zgłoszenia: Polskie Biuro Usług Społecznych
Tel: (03) 9629 8277

31 sierpnia, sobota, godz. 15.00-21.00 – Potańcówka nie tylko dla seniorów. Gra zespół „Srebrne Echo” - Klub Polski Albion. Więcej informacji: Krysia 0448 312 991

MAZUR

CARGO SERVICES

Paczki do Polski i Europy Wschodniej

Sunshine (03) 9363 5132 Dandenong 0422 110 493
Geelong (03) 5277 0458
Adelaide (08) 8258 1331
Sydney 0418 977 147

NAJKRÓTSZE TERMINY • NAJNIŻSZE CENY
www.mazurcargo.com.au

SYRENIE ŚPIEWY

Dok. ze str. 14

KATALONIA – Uroczę Sitges na wybrzeżu Costa Daurada, gdzie zamieszkiwał przez dwa lata Theodoros Theodokopulos (El Greko), też chlubi się swoją Syreną. Miejskowa tradycja powiada, iż kto dotnie tej Syreny, pochwyty strzępek jej duszy, żeby potem co jakiś czas odzyskiwać ją ponownie. Ciekawe. A samej Syrenie brązową duszę zaszczerpił w 1964 r., tuż przed swoją śmiercią, pochodzący z Barcelony, ale zamieszkały w Sitges artysta rzeźbiarz Pere Jou. Najmłodsza, ale też najmniejsza statua Syrenki w Hiszpanii znalazła swoje miejsce w mieście Pineda de Mar, w tym, gdzie wraz z rodziną zamieszkujemy. Nasza Syrenka jest dziełem barcelońskiego rzeźbiarza Augustí Guasch i Gómeza, regularnie przybywającego z rodziną na wakacje do Pinedy de Mar, którą wyjątkowo polubił. Jego niewielka Syrenka mierzy 87 cm wraz z kamieniem, na którym zasiada. Miastu Pineda de Mar podarował ją zacy Joseph Maresme, jego mieszkaniec, u którego barceloński artysta rokrocznie wynajmował dom dla spędzania w Pinedzie wakacji i okresów świątecznych. W dniu 21.V.2019 r. posadowiono pinedzką Syrenkę u wejścia do rybackiego portu braterskiego stowarzyszenia rybaków pod patronatem św. Piotra.

OGŁOSZENIA DROBNE

DO 30 SŁÓW TYLKO \$27.50 incl. GST; JEDNORAZOWE; PŁATNE Z GÓRY. SĄ DUŻE ZNIŻKI NA POWTARZALNE – ZA KWARTAŁ - 25%, ZA PÓŁ ROKU - 33%, ZA ROK - 50%;
TEL. (03) 8382 0217
E-mail Biura: strzelecki2@optusnet.com.au

Polskojęzyczni pracownicy (support workers) potrzebni w rejonie Ormond. W zakresie obowiązków pomoc polskiemu podopiecznemu, w tym prowadzenie samochodu, gotowanie, opieka osobista i dotrzymywanie towarzystwa. Kontakt Zoe 0468 901 201.

Polskie audycje radiowe:

Melbourne 3ZZZ 92.3 FM:
wtorek 11-12, środa 22-23, sobota 19-20
Adelaide 5EBI 103.1 FM
pon. 17-18, czw. 16-17, sob. 8-9

Radio 3ZZZ Melbourne

E: polishradio3zzz@hotmail.com
Ogłoszenia i komunikaty:
E: rsuwara@yahoo.com.au
T: 0425 705 996

K.N.D. Denture Clinic

192 Main Road East
St Albans 3021
Tel: 03 9364 3677 Fax: 03 8307 3286

Pełne/częściowe protezy, częściowe protezy metalowe, protezy na implantach, wyściółki do protez zębowych, naprawa protez sportowych i ochraniaczy na zęby.
Mówimy po polsku.

MNIEJ ZNANE EUROSIRENY, A TEŻ POZA-EUROSIRENY

Legenda o Syrenach udało się mi odnaleźć w Szkocji, gdzie nazywa się je *selkies*. Ich wyobrażenia napotkać można w samej **Szkocji** (Wyspy Szetlandzkie), na **Wyspach Owczych** oraz w **Islandii**. Twórcą Syren z Wysp Owczych jest Mirosław Nowaczyk, artysta pochodzący z Polski. Włosi są święcie przekonani, że wszystkie europejskie Syreny, jeśli zagraża im niebezpieczeństwo, chronią się wokół wyspy Capri.

Syreny napotkamy też na innych kontynentach. Oto na centralnym placu miasta **Metepec w meksykańskim stanie México** napotkamy okazałą fontannę z posągami La Tlanchana, tamtejszej Syreny. Jej imię w dawnym języku Azteków wywodzi się od słów: matka, woda i piana. W Ameryce Północnej postaci Syren napotkamy w **Weeki Wachee Springs** na Florydzie, o rzut rybim ogonem od tamtejszych Walt Disney Studios. Postać rybiogonowej Syreny zdobi bodaj wszystkie świątynie wudu na Haiti – kult Syreny odgrywa w owych rytuałach znaczącą rolę. Sai-ren (Syrenę) czci się jako boginię **na japońskiej wyspie Kiusiu**; tam jej twarz przedstawia się z ptasim dziobem. Na kontynencie afrykańskim Syreny napotkamy przede wszystkim w jaskiniach **Khoi San w Republice Południowej Afryki**, ale również jako Mami Wata (Boginię Mórz) w **Beninie** i w **Togo**. Pozostaje mi jeszcze jedna Syrena. Tej doszukałem się na antypodach, ale nie w Australii ani w Nowej Zelandii. Tu chodzi o **Fiji Mermaid (Syrenę z Wysp Fidzi)**, przedsta-

wianą z typowo polinezyjską głową, mocno zbudowanym torsem, ale z ogonem ryby.

SYRENY W DAWNYCH, CESARSKICH CZESACHACH

W *Przygodach dobrego wojaka Szwajk* podczas wojny światowej, począwszy od drugiego tomu aż po czwarty, autor wspomina kadeta Bieglera z jedenastej kompanii marszowej, który przechwalał się, że jest arystokratą, a jego przodkowie mieli w herbie skrzydło bociana z ogonem ryby. Herb wyjątkowo syreni!

A oto inny cytat z powieści. Tym razem opowiadał sam Szwajk; „Był sobie przed laty w Pradze niejaki Mestek, który znalazł morską dziewczę, czyli syrenę i pokazywał ją za pieniądze w lokalu przy ulicy Havliczka na Królewskich Winogradach przez parawan. W parawanie była dziura i każdy mógł widzieć przez tę dziurę najzwyczajniejszą kanapę, a na niej tarzała się w półmroku jakaś zwyczajna kobieta z Żiżkowa. Nogi miała omotane zieloną gazą, co miało przedstawiać ogon ryby, zaś włosy miała pomalowane na zielono, a na dłoniach miała pletwy z tekturek też na zielono pomalowane. Do krzyża przywiązali jej jakieś pletwy czy co. Młodzieży do lat szesnastu wstęp był zakazany, ale za to wszyscy, co mieli lat szesnaście i pieniądze na bilet bardzo byli zadowoleni, że ta morską dziewczynę ma bardzo szeroki zad, na którym był napis: *Do widzenia!* Co do piersi to inna sprawa, bo sphywały jej na pępek jak stara, sforsowana guma. O godzinie siódmej wieczorem pan Mestek zamykał panoramę i mówił: - *Dziewico morska, możesz iść do domu.* Więc ona się przebierała w inne ubranie, a o godzinie dziesiątej można było spotkać ją na ulicy Taborskiej i usłyszeć, jak po cichu caczeiała każdego napotkanego mężczyznę: - *Panie zacany, niech pan się pofatyguje ze mną.* Ponieważ nie miała książeczki w porządku, więc przy jakiejś tam okazji capnęli ją i pan Draszner z policji wsadził ją do ula. Znikła morską dziewczynę i pan Mestek nie miał już nic do pokazywania za pieniądze” - tak dobry wojak zakończył swe barwne opowiadanie.

Jak z dzisiejszego tekstu wynika, świat morskich dziewczyn bardzo jest bliski świata człowieczego. Romantyczne Syreny również żyją w głębinach pożądania i namiętności, zwłaszcza tej pieniężnej. I nijak temu zaradzić. Syreni świat przyjąć trzeba takim, jakim go dzisiaj opisałem, i basta!

13 czerwca 2024
Jerzy Leszczyński

Tabela Kursów Średnich NBP z dnia 14-06-2024

dolar amerykański	1 USD	4,0760
dolar australijski	1 AUD	2,6954
dolar kanadyjski	1 CAD	2,9628
dolar nowozelandzki	1 NZD	2,5004
euro	1 EUR	4,3581
frank szwajcarski	1 CHF	4,5690
funt szterling	1 GBP	5,1857
hrywna (Ukraina)	1 UAH	0,1004

Profesjonalne Strony Internetowe

Allwell International

BestWebDesignMelbourne.com.au

- * żywa osoba (nie maszyna) odbiera telefon (03) 9700 0422
- * mówimy po polsku
- * serwisy internetowe, optymalizacja, appy
- * doradztwo i szkolenia
- * niskie ceny i zniżki dla rodaków.

DOM POLSKIEGO EMERYTA w Bayswater,

usytuowany u podnóża Gór Dandenong
specjalizuje się w opiece nad polskimi Seniorami.

Dom oferuje:
24 godz. opiekę,
polską kuchnię,
personal mówiący po polsku,
zajęcia w języku polskim

Po więcej informacji w celu zapisania się na listę oczekujących lub z wizytą prosimy o kontakt z kierowniczką Domu, Marylą Piasecką, pod nr. tel. (03) 9720 3575.

Nasz adres: 3 Percival St., BAYSWATER, VIC. 3153

Redakcja przypomina zainteresowanym, że ostateczny termin nadsyłania materiałów emailowo do następnego numeru Tygodnika Polskiego upływa we wtorek 25 czerwca o godz. 18.00.
polishweek@optusnet.com.au

Załatwianie spraw w biurze Tygodnika - poniedziałki i piątki w godz. od 10.00 do 13.00



Dzień Republiki

Włosi świętują w tym roku 78. rocznicę referendum, w którym zdecydowali, że wybierają republikę jako formę ustroju państwa. Za utworzeniem Republiki Włoskiej opowiedziało się wówczas ponad 12 milionów obywateli. Dzień 2 czerwca obchodzony jest jako Festa Della Repubblica Italiana - bardzo uroczyste i ceremonialne. Od wielu lat mam zaszczyt być gościem tradycyjnego przyjęcia, organizowanego przez Ambasadę Włoch w Warszawie. Tym razem Ambasador J. E. Luca Franchetti Pardo zaprosił przedstawicieli rządu, dyplomatów akredytowanych w Polsce, pracowników włoskich firm, przyjaciół Włoch, którzy przybyli licznie na spotkanie w Auli Głównej Politechniki Warszawskiej. Wita-



jąc gości, Ambasador wspominał nie tylko ważne wydarzenie historyczne, które przesądziło o przyszłości Włoch, ale podkreślił również więzi łączące oba nasze narody. To m.in. pamiętna bitwa o Monte Cassino.

Mówił, że m.in. dzięki bohaterstwu wielu polskich żołnierzy, którzy złożyli najwyższą ofiarę właśnie na Monte Cassino i innych polach bitewnych, doszło do wyzwolenia kraju i odnowy po mrocznych latach II wojny światowej. W dniu 2 czerwca 1946 r. Włosi opowiedzieli się za pokojem, wolnością, demokracją, Państwem Prawa i dobrostanem obywateli - kontynuował. Ale mówił nie tylko o historii, podkreślając zgodną współpracę Włoch i Polski w wielu dziedzinach, także w wymiarze międzynarodowym. Wizyty bilateralne rządów obu państw odbywają się z dużą intensywnością, czego przykładem są spotkania Prezydentów: Andrzeja Dudy i Sergio Mattarella (w 80. rocznicę bitwy o Monte Cassino, a zaplanowano kolejne, jeszcze w tym roku); regularnie kontaktują się premierzy, Ministrowie Spraw Zagranicznych, członkowie rządu i parlamentu. Rozwija się współpraca gospodarcza, handlowa, kulturalna, naukowa i turystyczna. W ubiegłym roku wymiana handlowa osiągnęła zawrotną sumę 32,5 miliardów euro; Włochy są trzecim największym eksporterem do Polski i piątym największym importerem z Polski. Ogromny sukces odnotowali włoscy wystawcy na zakończonych niedawno Warszawskich Międzynarodowych Targach Książki. Włochy były Gościem Honorowym Targów, co pozwoliło autorom i edytorom zaprezentować dorobek swojej współczesnej literatury pod hasłem „Ci vuole un fiore” (cytat z wiersza Gianniego Rodariego). W Targach wzięło udział 12 włoskich oficyn wydawniczych, a do Warszawy przyjechało ponad 20 literatów, by spotkać się z polskimi czytelnikami. Reprezentowali prozę i poezję, książki dla dzieci, filozofię, religioznawstwo, historie; byli tłumacze i ilustratorzy. Ambasador zadeklarował dalsze wzmacnianie włosko-polskich kontaktów i więzi przyjaźni, z którą od 15 miesięcy swojej misji dyplomatycznej w Polsce spotyka się codziennie w pracy i życiu prywatnym. Nic dziwnego, że Festa Della Repubblica Italiana upłynęła w milej, spontanicznej atmosferze.

Kopciuszek

Bajka o Kopciuszku należy do najbardziej urokliwych opowieści znanych na całym świecie z literatury i sztuki. Temat dziewczynki gnębionej przez złą mачochę i jej córki, która dzięki pomocy baśniowych istot trafia na bal w zachwycającej kreacji, zdobywa zainteresowanie księcia, gubi brylantowy bucik, by po wielu przygodach poślubić ukochanego - ta baśń pojawia się w wielu wariantach. Najsłynniejszy to wersja z 1634 roku: jej twórcą jest włoski pisarz Giambattista Basile i jest to najstarsze w Europie wydanie „Kopciuszka”. Potem temat ten podejmowali i Charles Perrault, i bracia Grimm; baśń trafiła też na duży ekran w filmach fabularnych i animowanych - radzieckich, amerykańskich, polskich, japońskich, niemieckich. W 1996 r. powstał australijski film animowany „Kopciuszek” („Cinderella”) w reżyserii Richarda Słapczynskiego (czyli Ryszarda Słapczyńskiego), który jest twórcą również innych produkcji: „Dziwne przygody Koziołka Matołka”, „Alicja po drugiej stronie lustra”, „Ali Baba”, „Calineczka”, „Piękna i Bestia”. „Kopciuszek” podbił też scenę baletową; muzykę do opowieści skomponował Siergiej Prokofjew. Cóż, jest to tak uroczą historia, że na jej podstawie można wyczarować cudowne widowisko dla dzieci i dorosłych. Przekonali się o tym widzowie podczas 67. Forum Humanum Mazurkas w Hotelu Mazurkas w Ożarowie Mazowieckim, gdzie wystąpił Kielecki Teatr Tańca. Tym razem był to spektakl wykraczający poza tradycyjną formę, w uwspółcześnionej wersji, wzbogacony o zupełnie nowe elementy muzyczne, choreograficzne i tematyczne. Z reguły jesteśmy przyzwyczajeni do tradycyjnego wykonania. Ale twórcy spektaklu (choreografia Elżbiety Pańtak i Grzegorza Pańtaka; libretto - Elżbieta Pańtak) zgodnie z założeniami programowymi Kieleckiego Teatru Tańca



postanowili zrealizować widowisko taneczno-muzyczne z wielkim rozmachem i fantazją. Powstały więc nowe, atrakcyjne sceny, pojawiły się nowe postacie, a akcję ilustruje nie tylko muzyka klasyczna, ale również filmowa i rozrywkowa. Słyszymy utwory Bacha, Chopina, Straussa, Gounoda, a także Andrzeja Korzyńskiego, Nino Roty, The Chemical Brothers i Elvisa Presleya. Tancerze wyglądają rewelacyjnie w dynamicznych popisach, a ogromnym atutem spektaklu jest pomysłowa scenografia Luigi Scoglio i bajecznie kolorowe kostiumy Małgorzaty Słoniowskiej. Poszczególne sekwencje uruchomiły wyobraźnię twórców: zachwycają kreacje uczestników słynnego balu na dworze księcia, zabawne igraszki tańczących myszy, korowody warzyw, ptaków i innych stworzeń. Na potrzeby widowiska uszyto aż dwieście kostiumów i fantazyjnych nakryć głowy. Jest co podziwiać, czekając na pociągający finał, że wszystko się dobrze skończy, bo przecież w bajkach dobro zawsze zwycięża zło.

Akademia otwarta

Początek czerwca oznacza dla studentów Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie czas Akademii Otwartej, czyli corocznego Święta Wydziałów na zakończenie roku akademickiego. W niemal wszystkich pracowniach uczelni można oglądać efekty całorocznej pracy studentów i zapewniam, że jest to wydarzenie wyjątkowo interesujące. Przede wszystkim ASP tradycyjnie uznawana jest za bardzo elitarną uczelnię: trzeba walczyć o indeksy. Jednak statystyki mówią, że kształci się tu corocznie około 1600 osób, co nie jest małą liczbą. Znając realia rynku pracy, zawsze zastanawiam się, ilu absolwentów pozostanie w zawodzie. Warszawska ASP proponuje specjalizację na 9 wydziałach, usytuowanych w czterech lokalizacjach na terenie stolicy. Oczywiście najbardziej znany jest historyczny budynek przy Krakowskim Przedmieściu, czyli zabytkowy, XVIII-wieczny Pałac Czapskich (dla Wydziału Malarstwa oraz Grafiki), ale z czasem doszły kolejne, nowe miejsca dla wydziałów: Wzornictwa, Architektury Wnętrz, Sztuki Mediów, Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki, Scenografii, Badań Artystycznych i Studiów Kuratorskich, Rzeźby. Akademia Otwarta na podsumowanie roku akademickiego połączyła się z wernisażem Up Coming 2023, czyli prezentacją wybranych dyplomów, pokazami, setami DJ-ów i koncertami. Na 15-lecie Wydziału Sztuki Mediów przygotowano imprezę „Media Star Planet”, bo każdy z nas jest gwiazdą



i może zabyłnąć. Po obejrzeniu wystawy dyplomantów wybrałam jednak spacer po pracowniach Wydziału Malarstwa oraz Wydziału Grafiki w gmachu na Krakowskim Przedmieściu. To bardzo dobry kierunek zwiedzania, bo ukazuje skalę talentu młodych adeptów sztuki. Poza tym można wtopić się w specyficzną atmosferę uczelni. Przejstronne sale, pochłapane farbą podłogi, poskładane w kątach sztalugi, ramy, szafy i meble z szufladami, gdzie studenci trzymają swoje prace. A nawet... niezbędne umywalki, bo nieraz trzeba szybko umyć ręce i pędzle. Taki tworczy bałagan artystyczny. Do tego zapach świeżych olejów i farb drukarskich. Na obu wydziałach aż trzy piętra z pracowniami i korytarze, wypełnione pracami. Podróż po krainie wyobraźni. Obowiązkowe szkice modeli w ołówku, węglu, tuszu. Figury dalekie od ideału, ale chodzi o to, aby uchwycić światło i cień, niuanse ludzkiego ciała, wypukłość formy. Studentom pozwala się także na dużo więcej, bo studia to nie tylko nauka techniki. Ze strzępów papieru i tkanin można wyczarować niesamowite przedmioty, bawić się li-

ternictwem, zestawiać zaskakujące teksty. Eksperymenty z lustrami, szkłem, gliną, masą plastyczną, włóczką i sznurami, fotografią dają niesamowite efekty. Plakaty studentów wydają się tak dojrzałe, dopracowane, że mogłyby już teraz trafić do dystrybucji na mieście. Akademia Otwarta to świetna inicjatywa, z pewnością zachęcająca utalentowanych plastycznie maturzystów do spróbowania swoich sił na egzaminach na studia w ASP.

Sublimacja

„Nie rzeczy niepokoją człowieka, lecz wyobrażenia o nich”. Tak pisał Epiktet i jest to motto rozważań o indywidualnej wystawie włoskiego artysty Marco Angeliniego p.t. „Sublimazione” (czyli „Sublimacje”) w warszawskiej Galerii TEST. Angelini urodził się w Rzymie, ale mieszka również w Warszawie. Jak można dowiedzieć się z jego biografii, zamieszczonej w solidnie opracowanym katalogu, jest z wykształcenia socjologiem. Pasjonuje się podróżami po świecie i jego prace plastyczne wyrażają osobiste wrażenia i emocje, będące efektem tych wojaży oraz refleksji i przemyśleń. Angelini zafascynowany jest materią miasta jako scenografią pełną technologii, a przede wszystkim tętniącą ruchem sceną wypełnioną wielobarwną społecznością. W swoich pracach posługuje się farbami, pigmentami i klejem jako środkami przekazu, ale wykorzystuje także elementy pochodzące z recyklingu. Umieszczone na płótnach odzyskują swoją rangę; co więcej - stają się obiektami sztuki. Jak wiadomo, artyści widzą więcej. Angelini dostrzega różne wymiary rzeczywistości: nie tylko te konkretne, także tkwiące w podświadomości, funkcjonujące w pamięci i wyobraźni, prowokujące do zadawania pytań i rozmaitej interpretacji. Artysta od prawie dwudziestu lat udostępnia swoje prace w miastach Europy, a w Polsce to jego kolejna wystawa. Tym razem w „Sublimacjach” proponuje przeniesienie energii z obszaru przedmiotów odrzuconych do innej sfery,

atrakcyjnej dla widza. Kurator wystawy - Jan Kozaczuk - dogłębnie analizuje sztukę Marco, która na pierwszy rzut oka może wydać się nie do końca zrozumiała. Kiedy na jednym z obrazów widzimy wkomponowane żyletki, artysta symbolicznie odwołuje się do bolesnych doświadczeń życiowych. Jednak ból jest dla niego zarazem bodźcem pobudzającym do działania. I tu znów odwołuje się do starożytnej filozofii i Kartezjusza, autora słynnego cytatu „myślę, więc jestem”. Kolejny cykl to analiza roli światła. Najnowsze „lightboxy”, czyli radiografie, odnoszą się do zjawisk blasku i cienia; tego, co widzialne i niewidzialne. Artysta zaprasza, aby rozszyfrować i zinterpretować po swojemu znaczenia prac. Zaskakujące bywają tytuły, bo dowiadujemy się, że wygięty pręt przyklejony na jaskrawo-żółtym płótnie to „Nieskończoność”. Metalowa forma, przypominająca ogromną agrafkę na błękitnym tle, to „Elizjum”. „Siła i odwaga” to z kolei kładzione poziomo szerokie pasy farby - od bieli do brązu. Obraz emanuje spokojem, interpretacja może być zupełnie odmienna od właściwej, czyli autorskiej. Dla mnie to... krajobraz pustej plaży o zmierzchu, ale „Siła i odwaga” oczywiście brzmi bardziej poetycko. Wspomniane wcześniej lightboxy zatytułowane są „Odwilż” i „Przyjaciół z Ameryki Południowej”: to wspomnienia zatrzymane w błyskach farby i światła. Wystawa prezentuje bardzo subiektywne spojrzenie na świat, pełne emocji i filozoficznej zadumy nad przemianami czasu.



Szanowny czytelniku

W dzisiejszym wydaniu T.P. prezentuję państwu fragmenty książki-pamiętnika Anny Sidor-Gobairy. Książka jest smutnym wspomnieniem pobytu na wygnaniu Polaków na Syberię. Uważam jednak, że naszym obowiązkiem jest pamiętać o tych, którym zgutowano tak smutny i niesłuszny los tylko dlatego, że byli Polakami. Życzę państwu ciekawej lektury. Dzisiaj prezentuję fragmenty początku tej zsyłki, natomiast w następnym numerze przekażę państwu zakończenie tych trudnych lat poniewierki rodziny pisarki.



Anna Sidor-Gobairy

Przygotowała i opracowała dr Elżbieta Koło

Anna Sidor-Gobaira

TUŁACZE LATA

Wspomnienia te poświęcam pamięci mego Kochanego Ojca, który wygnany z kraju, zmarł w nędzy i samotności daleko od rodziny i Ojczyzny.

Przyszedł rok 1939, dzień 1 września. Niespodziewany nalot niemieckich bombowców na Polskę stał się początkiem wojny. Byłam za młoda, bo miałam zaledwie dziesięć lat, aby zrozumieć tragizm sytuacji. Wiedziałam, że stało się coś strasznego, bo twarz ojca wyrażała niepokój i trwogę. Z przerażeniem słuchałam, jak zgromadzeni sąsiedzi powtarzali słowo wojna. Pamiętałam częste opowiadania mamy o jej przeżyciach z pierwszej wojny światowej. Była wtedy małą dziewczynką. Minęło dwadzieścia lat, rany ledwo się zagoiły, a na Polskę znowu napadł wróg.

Powietrze i ziemia drżały od huków bomb i armat. Na horyzoncie wisiły smugi dymu. Kiedy niemieckie bombowce przelatywały nad nami, zdawało się, że ziemia drży w posadach. Na każdy odgłos samolotu chowałam się ze strachu do sadu. Niemcy zbombardowali Brody, Radziechów, a także pobliskie miasteczka. Jednego pięknego słonecznego dnia niespodziewanie na polu wylądował samolot w pobliżu taty, który akurat tam pracował. Bardzo nas to przerażało. Okazało się, że to polski lotnik został zmuszony do lądowania. W wiosce z natężeniem słuchano wiadomości. Warszawa w ogniu i gruzach bohatercko się broniła, dziesiątki miast płonęły. Polskie wojsko walczyło, broniąc kraju z zapalem i niezmiernym heroizmem, lecz wróg był silniejszy.

Korowody uchodźców sunęły drogą bez przerwy w stronę Węgier i Rumunii. Ludzie posepni jak noc, głodni, przestraszeni, z tobołkami na plecach szli, jechali wozami lub samochodami. Jeśli zabrakło już benzyny, zostawiali wszystko i szli dalej. Czasami słycać było lament, użalanie się czy słowa rozpacz. Często przechodziły obok nas rozbite oddziały żołnierzy, którzy byli okrutnie przemęczeni i zawsze głodni. Mama dawała im po kromce chleba i kubku mleka, za co byli bardzo wdzięczni.

Tato przygotował wóz trochę potrzebnych rzeczy oraz żywności, aby w

razie niebezpieczeństwa wywieźć nas do lasu. Do tego jednak nie doszło, bo bitwy ustały. Hitler zagarnął ziemie po Bug, a wojsko polskie zapędził do obozów jenieckich. Siedemnastego września 1939 roku Polskę zaatakował wróg ze wschodu. Armia rosyjska wkroczyła do Polski, zajmując ziemie od Bugu na wschód. Wojsko z tych stron zabrano do niewoli sowieckiej.

Chociaż ustał huk armat a wiatr rozwił czarne smugi dymu, w kraju zapanał nieład, niepewność i strach. W naszych wschodnich stronach mieszkający tam Ukraińcy przyjęli sowieckie wojska z otwartymi ramionami, ale dla większości ludzi sytuacja przedstawiała się ponuro. Nikt nie wiedział, co jutro nas czeka. Do nas często przychodzili Ukraińcy i spisywali nasz inwentarz. Wypytywali ojca, ile mamy morgów ziemi, ile koni, krów, świń, a nawet ile zboża w komorze. Kiedyś tato takiego urzędnika wyrzucił z domu.

Rodzice w tym czasie nie wysyłać nas do szkoły. Może dlatego, że zima była niezwykle ostra i brakowało ciepłego ubrania, albo dlatego, że ojciec nie sprzyjał nowemu rządowi. Z tego powodu mieliśmy kłopoty, gdyż pewnego popołudnia wpadł do naszego domu rosyjski urzędnik w wojskowym mundurze i zawiadomił rodziców, że uczęszczenie dzieci do szkoły jest obowiązkiem, inaczej naszych rodziców czeka kara. Wtedy, chcąc nie chcąc mama przysłała mnie i brata jak mogła, i wczesnym, mroźnym rankiem wyruszyliśmy na lekcje. W szkole zaszły duże zmiany, klasę trzecią, czwartą i wyższe umieszczono w tajemniczym dworze. W obszernym pokoju, w którym była moja klasa, było zimno i wilgotno jak w piwnicy. Nowa nauczycielka mówiła tylko po rosyjsku. Nastrój wśród dzieci był bojaźliwy, panowała głucha cisza, jakiej nie pamiętam nigdy przedtem. Okres nauki w nowych warunkach nie trwał jednak długo. Niespodziewane wydarzenia wszystko zmieniły, rzucając nas na inne tory życia. Skończyły się moje bez troskie, dziecinne lata, a zaczęła się nowa epoka - życie tułacze.

PRZEŻYCIA W ROSJI

I
Była ostra zima. Polska znalazła się pod okupacją dwóch wrogów. Nadszedł dzień dziesiątego lutego 1940 roku, dzień gorzko i boleśnie wspomniany do dziś przez Polaków, dzień zsyłki na Syberię. Trudno opisać, ile wtedy było trwogi, łez, żalu i rozpacz. Rozpoczęła się dla nas długoletnia tułaczka, wielu pożegnało rodzinną ziemię na zawsze.

Kiedy tego dnia zbudziłam się wczesnym rankiem, było zimno i pochmurnie. Czułam się dziwnie niespokojna, nie wiedziałam, co ze sobą począć, jakby jakiś wielki kamień przygniatał mi serce. Wokół panowało zamieszanie, niepokój i ruch. Nad naszym cichym osiedlem zawisła groza. Niespodziewanie weszły do nas rosyjski żołnierz i zażądał śniadania, które mama z pośpiechem mu podała. Drogą ciągnęły sanie jedno po drugim, załadowane tobołkami i skrzyniami, a idący obok nich ludzie żałośnie płakali. Temu orszakowi towarzyszyli sowieccy żołnierze, trzymając nadzór nad ludnością. Twarze moich rodziców wyrażały zdenerwowanie i trwogę. Mama zaczęła chować cenniejsze rzeczy. Pobiegłam do cioci i po krótkim czasie zauważyłam z okna jej domu sanie z kilkoma żołnierzami, wjeżdżające na nasze podwórko. Z przerażeniem pomyślałam, że chcąc zabrać tatę. Gdy mnie zawołano, ze strachem weszłam do mieszkania. Jeden z żołnierzy krzychał *sobierajsa*. Mama z pośpiechem wrzucała rzeczy do kufrów, gdyż na spakowanie się dano nam tylko piętnaście minut. Brat i siostra płakali przestraszeni. Tato zaprzął do san parę białych koni, na które załadował cztery worki mąki i trochę żywności. Nam ka-

ziano siadać na drugie sanie, mówiąc, że tylko na krótko musimy opuścić nasze domostwa.

Wyjechaliśmy na drogę ciągnącą się wzdłuż naszego majątku, w stronę pobliskiej Kolonii. Pod saniami skrzypiął śnieg, bo poranek był bardzo mroźny. Skierowano nas do budynku szkolnego, w którym urządzono punkt zbórny ludzi zamieszkałych w tej okolicy. W zapchanej sali pełno było rosyjskich żołnierzy. Wśród zebranych spotkał się ciotkę Marię z mężem i czworgiem dzieci: Staszkiem, Ewą, Józkiem i Andrzejem. Mieszkali oni na Kolonii przez kilka lat, ciężko pracując, a teraz byli zmuszeni do opuszczenia swego gospodarstwa i całego dobytku.

Po krótkim czasie załadowano wszystkich na sanie i ruszyliśmy do Radziechowa, naszego miasta powiatowego. Długi korowód san pod strażą sowieckich żołnierzy przejeżdżał wzdłuż naszych pól i zabudowań, aby dotrzeć do głównej drogi prowadzącej na stację kolejową. Ze łzami w oczach żegnałam nasz dom, pokrytą śniegiem ziemię, która nas karmiła, łąki, ulubione miejsce bez troskich zabaw, i sad, który przepięknie zakwitał na wiosnę. Opuściliśmy nasze rodzinne gniazdo, kto wie, być może na zawsze. Serce się krajało na widok babki i ciotki Teci z rodziną, które stały przy drodze i żałośnie płakały, choć nie wiedziały przecież, że już nigdy się nie zobaczymy.

Przejeżdżając przez Potoki spotkał się stojących przy drodze sąsiadów, których Rosjanie nie aresztowali, może dlatego, że ludzie ci byli biedni. Żegnali nas ze smutkiem, z granatowego nieba padały płatki białego śniegu niby krople łez. Pochód sunął powoli. Byliśmy głodni i przemarznięci. Zbliżał się wieczór i na widnokręgu ukazały się migocące światelka. Dojeżdżaliśmy do Radziechowa, dokąd rodzice często jeździli na jarmark. Miasto było oświetlone, lecz wydawało się ponure. Zatrzymano nas na dworcu kolejowym i umieszczono w dużej sali przepełnionej ludźmi. W drodze moja najmłodsza siostra, Jarosława, odmroziła palce i bardzo płakała. Mama natarła je śniegiem. Mnie tak skostniały nogi, że z trudem chodziłam. Tato, który wcześniej jechał na drugich saniach wioząc mąkę, teraz przyszedł do nas i na rozgrzanie dał nam po łyżeczce wódki i kawałeczku chleba.

Późnym wieczorem załadowano nas do towarowych wagonów wraz z rodziną cioci i naszymi sąsiadami. Zajęliśmy miejsce przy rodzinie mojej koleżanki, Marysi Roztykus, z którą chodziłam do szkoły i która miała ojca, macochę i trzech braci. Szybko usnęliśmy po długiej, męczącej podróży. Drzwi wagonów zamknięte, a wokół pociągu chodzili wartownicy uzbrojeni w karabiny. Po obudzeniu się zauważyłam, że poranek był słoneczny, mimo że mroźny.

Zamknięci jak więźniowie, pod strażą, staliśmy na dworcu przez trzy doby. Dopiero czwartego dnia zaświstała lokomotywa i pociąg ruszył. Mijaliśmy pokryte śniegiem pola, łąki, lasy, wiejskie osiedla i szare, dymiące fabryki. Parę razy transport zatrzymywał się w większych miastach. Po kilku dniach dowlękliśmy się do rosyjskiej granicy. W Szepietówce przeładowano nas do innego towarowego pociągu. Przesiadka ta była konieczna, bo w Rosji szyny kolejowe są rozstawione szerzej. Ostatnim spojrzeniem, ze łzami w oczach, pożegnaliśmy naszą Ojczyznę. Utraciliśmy wszystko: kraj, gospodarstwo, krewnych, przyjaciół, a przede wszystkim wolność! Staliśmy się niewolnikami zaborcy.

II
Przez obszerne ziemie Rosji, ku północy, jechały pociągi załadowane Polakami. Krajobraz zmieniał się. Pola były pokryte wielkimi wydrami śnieżnymi, okolicy były mniej zaludnione, a rozsiadane wioski wyglądały bardzo ubo-

go. Coraz więcej ukazywało się lasów. Wszystko przedstawiało ponury widok. Co kilka dni pociąg zatrzymywał się na większej stacji i wtedy mężczyźni pod nadzorem żołnierzy przynosili wiadrami wodę, która była najcenniejszą rzeczą. Głód na razie nie dokuczał, bo mieliśmy trochę żywności z domu.

Pewnego dnia do wagonu przyniesiono mleko dla małych dzieci. Moja najmłodsza, dwuipółletnia siostra, bardzo spragniona, wypila swój garnuszek mleka z pośpiechem, zanim mama zdążyła mleko zagotować na żelaznym piecyku umieszczonym pośrodku wagonu. Dostała dezynterii i przez długi czas chorowała. Była to męczarnia nie tylko dla niej, ale i dla nas. Choroba Jarosławy bardzo nas przygnębiła, gdyż kochał się to dziecko niezmiernie, nie tylko dlatego, że była naszą siostrą, ale że miała nadzwyczaj miłą naturę i zjednywała serca wszystkich.

W czasie tej długiej i uciążliwej podróży wiele czasu spędzałam, siedząc przy małym okienku zabezpieczonym żelazną kratą. Obserwując przebiegające się krajobrazy zapomniałam czasami o naszym nieszczęściu i niewygodach. Któregoś dnia po południu przejeżdżaliśmy koło Kijowa. Z okna wagonu można było dojrzeć szare duże budynki i wysokie kopuły cerkwi. Widok ten prędko znikł, bo pociąg jechał bardzo szybko. Znowu mijaliśmy pokryte śniegiem pola, ubogie osiedla, a czasami też miasta. Pociąg zatrzymywał się tylko, co kilka dni. Wtedy przynoszono do wagonów wodę, czasami podobną do pompy zupe i czarny chleb. Tak dojechaliliśmy do Moskwy.

Klimat stawał się coraz ostrzejszy, a lasy większe i ciemniejsze. Nieraz dni były pochmurne i zrywała się taka zamieć, że nie można było nic zobaczyć. Nocą przeraźliwie wyły wiatry podobne do ludzkiego jęku lub płaczu. Parę razy pociąg musiano zatrzymać, bo śnieg tak zasypał tory kolejowe, że jazda była niemożliwa. Nastrój w wagonach był ponury, a w oczach malowała się bojaźń. Na usta cisnęły się pytania, dokąd nas wiozą, co nas czeka? Zdarzało się, że ktoś z transportu uciekał. Po złapaniu groziła mu śmierć lub ciężkie więzienie.

Ciągle brakowało wody, toteż cierpiało się z pragnienia, które doprowadzało ludzi do szaleńczych czynów. Kiedyś pociąg zatrzymał się w pustym, bezludnym miejscu. Naokoło widniały tylko śniegi. Wagony były pozamykane. Tato spuścił przez okno przywiązany do sznurka garnek i chciał zacerpnąć śniegu, ale mu się to nie udało. Mój brat Mietek, nie namyślając się długo, wylazł otworem okiennym i ześlizgnął się po sznurku w dół. Zauważył to żołnierz, który pilnował pociągu. Zaczął krzyczeć na brata, a po chwili wprowadził go z powrotem do wagonu, mówiąc, że następnym razem wsadzi go pod koła. Zająście to ogromnie nas przerażyło.

Pociąg ruszył w dalszą drogę, mknąc na północ. Podróż stawała się coraz żmudniejsza. Siedząc lub leżąc na twardej deskach, przykrytych tylko kocami, zaczęło się odczuwać ból w kościach. Głód też zaczął mocno dokuczać. Tylko od czasu do czasu na postojach w większych miastach żołnierze otwierali drzwi wagonów, zabierali kilku mężczyzn z wiadrami, a ci pod nadzorem przynosili wodę, chleb i zupe. Starczało to na jeden posiłek, a potem znowu powracał głód. Brud i zaduch zaczęły dawać się we znaki. Ustępu nie było, tylko wycięta w pobliżu drzwi wagonu dziura, a wody było za mało, żeby obmyć ręce czy twarz. Ludzie zaczęli chorować i nieraz ktoś z transportu umierał. Wtedy zwłoki wyrzucano z wagonu w śnieg. Moja siostrzyczka nadal cierpiała na dezynterię, chudła i twarzyczka jej stawała się coraz bledsza.

Kiedy transport zatrzymywał się na jakiejś stacji, w pobliżu wagonów przychodzili Rosjanie, rozmawiali z nami, choć niektórzy młodzi drwili z nas. Chłopcy często prosili o jakąś polską monetę. Mijały dnie i tygodnie, a podróż wciąż trwała. Wzrastał się chłód, choroby i rozpacz. Krajobraz zmieniał się, bo przejeżdżaliśmy już przez ciemne tajgi syberyjskie. Trudno było uwierzyć, wpatrując się w monotony krajobraz przesuwających się za oknem borów, że istnieją tak wielkie obszary leśne. Pociąg pędził jak szalony, rzadko się zatrzymując.

Zbliżał się koniec lutego, a z tym koniec długiej, męczącej podróży przez Rosję. Pociąg zatrzymał się niespodziewanie wśród śnieżnych zasp i gęstych sosnowych lasów. Był wieczór. Wypłynął jasny księżyc, a ciemny granat nieba ozdabiała migotanie gwiazd. Wczesnym rankiem umieszczono nas na saniach i ruszyliśmy w dalszą podróż. Początkowo sanie brnęły przez śnieżne zasy, ale wkrótce wjechaliśmy na ubitą drogę. Małe dzieci i starcy jechali, podczas gdy reszta ludzi szła obok san. Na horyzoncie ukazało się osiedle: drewniane domy, drzewa i dymy z kominów. Po drodze spotykaliśmy tubylców, którzy z ciekawością przyglądali się przybyszom. Tak dojechaliśmy do Kopytowa.

Umieszczono nas w obszernym budynku podzielonym na kilka pokoi. Miejscowość ta leżała nad rzeką, wówczas zamazaną i pokrytą śniegiem. Poza rzeką leżała wioska, a dalej rozciągały się ciemne lasy. Jak okiem sięgnąć wszystko zdawało się spać otulone śnieżnym płaszczem. Przez rzekę chodziliśmy do wioski po wodę, bo koło naszych baraków nie było studni. Choć był już początek marca, nadal panowały ostre mrozy. Dano nam zastrzyki przeciwko tyfusowi, co spowodowało u wielu wysoką gorączkę. Czula się bardzo źle i kilka dni przeleżałam na posłaniu, które mama zrobiła w kącie pokoju. Baraki były przepelnione, bo do Kopytowa przywieziono cały transport ludzi. Najmłodsza siostra nadal chorowała na żołądek i czuła się coraz gorzej. Miła zapadła na bronchit i mocno kaszlała. Nie było pieca, aby coś ugotować. Na dodatek zabrano od nas ojca, gdyż wielu mężczyzn wywieziono do pracy do Charitonowa, odległego o około czterdziestu kilometrów. Po odjeździe taty przeniesiono nas do innego baraku, gdzie było jeszcze gorzej - głód, zimno, choroby i rozpacz. W tej sytuacji pozostaliśmy przez kilka tygodni.

III

Nadszedł wreszcie czas naszego wyjazdu do Charitonowa. Dzień był słoneczny i trochę cieplejszy. Już z rana, z pobliskiego kołchozu przybyli woźnice z „podwodami”. Na jednych saniach usiadła mama z rodzeństwem, a drugich jechałam ja, pilnując naszych rzeczy, a szczególnie maki i kufra. Ciocię z rodziną na razie zatrzymano w Kopytowie. Wraz z nimi pozostały tam dziesiątki polskich rodzin przybyłych tym samym transportem. Mężczyzn, tak starych jak i młodych, zapędzono do pracy w lesie, między innymi mojego wujka i kuzyna, Staszka, który miał osiemnaście lat. Kopali kanały, co było bardzo ciężką pracą, bo najpierw trzeba było usunąć śnieg, a potem rąbać kilofami zamrożoną ziemię. Robota szła pomału, zaś zarobek był tak niski, że za cały dzień pracy można było kupić tylko jeden bochenek chleba. Po paru miesiącach wysłano ich do Solwyczegodska, gdzie dostali lepszą robotę przy budowie szkoły. O tych przeżyciach dowiedziałam się z listów, które potem do nas pisały.

Sanie załadunkowe rzeczami i ludźmi sunęły jedne po drugich. Najpierw droga prowadziła przez gęste bory, potem las stawał się coraz rzadszy, aż wyjechaliśmy na rozległe pola pokryte śniegiem. Gdzieś tam rosło samotne drzewko. Czasami mijaliśmy osiedla, tak zwane „posiołki”. Drewniane chaty stały na podwyższeniu, aby w zimie nie zasypał ich śnieg, a na wiosnę nie zalała woda z roztopów. Do drzwi wchodziło się po schodach. Przy domach rosły sosny lub kilka jodełek, lecz były one na wprost ukryte w śniegu. Niekiedy wjeżdżaliśmy w lasy, a potem znowu na puste obszary. Czasem wyskakiwałam z san i biegłam drogą, aby się rozgrzać, a także zobaczyć się z mamą i rodzeństwem. Pod kopytami koni i stopami idących skrzypiał śnieg, czasami zapalało dziecko, poza tym panowała głucha cisza, przerywana tylko krakaniem wron.

Zbliżał się wieczór. W oddali na horyzoncie ukazały się zarysy osiedla. Był to Charitonow należący do archangielskiej „obłasci”. Droga prowadziła przez środek osiedla. Po prawej stronie mineliśmy studnię, ogrodzoną płotem tartak, a po lewej zauważyłam kilka dużych budynków. W jednym z nich mieściła się stołówka, w innym żłobek dla małych dzieci, a w pozostałych poczta, sklep i biura. Resztę osiedla zajmowały domy mieszkających tu od dawna Rosjan.

Zapadł już zmrok, kiedy sanie zatrzymały się koło pustych baraków „zakluczonych”, czyli więźniów, gdzie umieszczono nas razem z setkami innych Polaków. Ściany baraków były brudne, zniszczone i łączyły po nich pluskwy. Po obu stronach stały prycze, pośrodku znajdował się piecyk, w pobliżu którego zajęliśmy miejsce dla naszej rodziny. Po wieczery, przy mdłym świetle lampy naftowej, tato opowiedział nam swoje tygodniowe przeżycia. Kiedy przybył do Charitonowa zabroniono podchodzić do tych baraków, bo mieszkali tam „zakluczeni”. Miejsce to otoczone było płotem obitym drutem kolczastym. W kilku punktach stały wieże, tak zwane dyżurki, w których trzymali straż wartownicy z bronią. Po pewnym czasie więźniów tych odesłano do innej miejscowości. Przybyli po nich Polacy musieli oczyścić opustoszałe baraki, aby przygotować je na przyjazd rodzin pozostałych w Kopytowie. Z powodu ogromnej ilości pluskiew i brudu była to obrzydliwa praca.

Zmęczeni podróżą szybko usnęliśmy. Zapadła ciemna noc, a za ścianą przeraźliwie świsnął wiatr. Może ubolewał nad naszą niedolą?... Po mroźnej nocy zaświtał słoneczny poranek. Pierwsze blaski słońca wpadły do wnętrza baraków, rozpraszając ciemność. Ludzie wstawali, robiąc znak krzyża świętego. Ich twarze były posępne, przygnębione. Mężczyźni pracujący w tartaku poszli do roboty już o brzasku.

Po śniadaniu wyszłam obejrzeć Charitonow, który, jak się okazało, miał być miejscem naszego dwuletniego pobytu na Sybirze. Było to duże osiedle położone między rzeką Wyczegdą, a obszarem ciemnych, nieprzebranych tajg. Obok naszego baraku stał szereg podobnych. Wszystkie zbudowane były z nieociosanych sosnowych bali. Z lewej strony, poza barakami, na tle lasu, stał budynek szkolny i sala teatralna, używana przez Rosjan do wyświetlania filmów, na zebrania lub tańce. Bliżej baraków znajdowała się łaźnia publiczna zwana „banią”, niedaleko stołówka i sklepik. Przy drodze, w stronę tartaku, stał mały budynek, w którym mieściła się komendantura obozu. Po prawej stronie osiedla, poprzez drogę, biegła linia kolejowa. Codziennie przejeżdżały tędy pociągi naładowane drewnem. W dół, za torami, płynęła Wyczegda, dopływ Dwiny. Teraz była zamazana i pokryta śniegiem. Za taflą lodową widniały lasy i zabudowania jakiegoś „posiołku”.

Na wyniosłym brzegu rzeki stał obszerne tartak, w którym zatrudnieni byli mieszkańcy Charitonowa.

Patrząc wokół odczuwałam wielki ból, gdyż wszystko tu było obce, zimne i ponure. Skargi i jęki poprzednich więźniów zdawały się kryć w każdym zakątku. Widok był przygnębiający, tak ogromnie odmienny od malowniczej, pięknej Polski, że nagle przypomniały mi się wsie ukryte w sadach, łany złotej pszenicy, ubarwione kwieciami łąki, bystre ruczaje i przemiła woń bzów i konwalii. Tęsknota targała sercem i dręczyła bez litości. Po policzkach płynęły łzy, a na usta cisnęły się słowa skargi. Tęsknota ta dokuczała mi przez długie lata tułaczki, choć uczucia swe kryłam sercu i rzadko się skarżyłam.

Był marzec i nadal trwała ostra zima. Baraki przedzielono ścianami na osobne pokoiki i każdej rodzinie przeznaczono jeden z nich. W naszym mieszkaniu mama ulepiła piec, aby mogła gotować i ogrzewać izbę. Dnie mijały powoli, jedne podobne do drugich. Wczesnym rankiem, kiedy jeszcze było ciemno, przeraźliwie wyły syreny, wzywając robotników do pracy. Wszyscy, oprócz dzieci i ich matek, musieli wychodzić do roboty. Jeśli ktoś ciężko zachorował musiał iść do lekarza, aby zostać zwolnionym z pracy, inaczej czekało go więzienie. Tato szybko zjadał śniadanie zło-

zone z kawałka chleba i kubka gorącej wody i spieszył do tartaku. Mama po jego wyjściu sprzątała, prała, gotowała i opiekowała się chorym dzieckiem, gdyż zdrowie mojej najmłodszej siostry wcale się nie polepszało. Po każdym posiłku dostawała biegunki. Rano szłam do sklepu po chleb, gdzie zawsze stała duża kolejka. Oprócz chleba i kaszy owsianej nic nie można było kupić. Głodu na razie nie odczuwaliśmy, chociaż brakowało wielu potraw, a szczególnie mleka. Ten brak odczuwały przede wszystkim małe dzieci.

W południe znow odzywały się syreny, oznajmiając przerwę obiadową. Rosjanie szli wtedy przeważnie do stołówek, a Polacy do baraków do rodzin. Tato zjadał miskę zupy, najczęściej z kluskami, chwilę odpoczywał i wracał do pracy. W tartaku znow zaczynały terkotać maszyny. Pomału dzień chylił się ku końcowi. Pod wieczór, na głos syreny, strudzeni ludzie wracali do swoich baraków, gdzie czekały na nich żony i dzieci. Twarze robotników były czerwone od mroźnego wiatru, gdyż przez cały czas ludzie pracowali pod gołym niebem. Po kolacji wszyscy szybko kładli się spać, bo każdy był niezwykle zmęczony, a poza tym brak było nafty do lamp.

CDN

Zamek Krzyżtopór – najpiękniejsza ruina w Polsce

Zbudowany w nawiązaniu do liczb z kalendarza miał 365 okien, 52 komnaty, 12 wielkich sal i 4 baszty. Jego sala balowa miała szklany strop z akwariem, a konie w stajniach jadły z marmurowych żłobów. Choć jego budowa pochłonęła niewyobrażalne ilości materiałów i funduszy, w pełnym rozkwicie i świetności pozostał tylko przez 11 lat, zanim zniszczyli go Szwedzi. Dziś to najpiękniejsza ruina w Polsce.

Zamek Krzyżtopór powstał w Ujeździe w gminie Iwaniska (dziś: Świętokrzyskie) na terenach należących do rodu Ossolińskich od XV wieku. Wcześniej ziemiami tymi zarządzali cystersi z Jędrzejowa. Budowę rozpoczęto jednak dopiero w wieku XVII, kiedy panem tych terenów został Krzysztof Ossoliński, syn marszałka sejmu Jana Zbigniewa Ossolińskiego oraz Jadwigi z Sienińskich. Ten doskonale wykształcony i głęboko wierzący magnat z upodobaniem podróżował po Europie, gdzie obserwował rozwiązania architektoniczne i techniczne, by wdrożyć je na budowie siedziby swojego rodu. Przypuszcza się, że zainspirował się m.in. rzymskim Palazzo Farnese, a jego marzeniem było wybudowanie rezydencji, która swoją wielkością, świetnością i przepychem przyćmi wszystko to, co wówczas powstawało w Europie. Ogromne fundusze na realizację swojego marzenia zdobywał z dochodów majątku, ale także posagów trzech majątnych żon. Dorobił się także dzięki wyłączności na zaopatrzenie armii Rzeczypospolitej podczas kampanii pruskiej przeciw Szwedom w 1626 roku.

Prace budowlane ruszyły w 1621 roku pod okiem Wawrzyńca Senesa. Jak wynika z zachowanych zapisków, do budowy wykorzystano 11 tysięcy ton miejscowego piaskowca kwarcytowego, 500 ton wapna i 5 tys. m³ piasku, a także 200 tys. cegieł i 30 tys. dachówek. Z całego świata sprowadzono egzotyczne drewno i marmury, do zaprawy wapiennej dodano białek z miliona kurzych jaj!

Powstała budowla łącząca funkcje warowni i pałacu. Nadano jej kształt pięcioboku z narożnymi bastionami, w środku powstał zaprojektowany na planie pięciokąta pałac, budynek gospodarcze i rozległy ogród. Zabudowania zajęły obszar 1,3 hektara. Brama główna

zwieńczona była ogromnym topozem, symbolem herbu Ossolińskich i krzyżem, mającym świadczyć o głębokim katolicyzmie właściciela. Prace trwały ponad 20 lat, do 1644 roku. Jego pomysłodawca mieszkał w nim ledwie rok, a jego spadkobierca, jedyny syn Krzysztof Baldwin Ossoliński – pięć lat, zanim zginął w bitwie pod Zborowem. Sześć lat później zamek najechali Szwedzi i splądrowali go tak, jak wiele innych polskich pałaców: ze ścian zdarto wszystko, co mogło stanowić jakąkolwiek wartość, zabrano cenne woluminy i elementy wyposażenia. Dzieła zniszczenia dopełnili Rosjanie walczący z konfederatami barskimi w latach 1768–1772. Od tamtego czasu Krzyżtopór – symbol polskiej świetności – choć zmienił właścicieli, pozostaje ruiną.

Po zakończeniu II wojny światowej przeszedł w własność Skarbu Państwa. Przez dziesięciolecie nie prowadzono w nim żadnych prac poza inwentaryzacyjnymi. Jeszcze kilkanaście lat temu wstępu zakazywały tabliczki informujące o możliwości zawalenia. Dopiero w 1991 roku po przeprowadzeniu niezbędnych zabezpieczeń poprowadzono po ruinach szlaki dla turystów. Od 2007 r. zamkiem opiekuje się Urząd Gminy w Iwaniskach i miejsce to ożyło – na szeroką skalę prowadzone są prace archeologiczne i konserwatorskie, wybudowano zaplecze gastronomiczne i toalety, wprowadzono wiele udogodnień technicznych, które ułatwiają zwiedzanie. Ruiny tej potężnej rezydencji są bez wątpienia jedną z najważniejszych atrakcji turystycznych województwa świętokrzyskiego. Można ją zwiedzać w dzień i w nocy, odbywają się tam koncerty, pokazy rycerskie. Sceneria ruin wykorzystywana jest w wielu filmach i programach historycznych.

Jolanta Pawnik

Dziennikarka i content menedżerka, autorka książek genealogicznych. Interesuje się historią, w swoich tekstach chciałaby przywrócić pamięć o ludziach, którzy tworzyli polską naukę i kulturę.

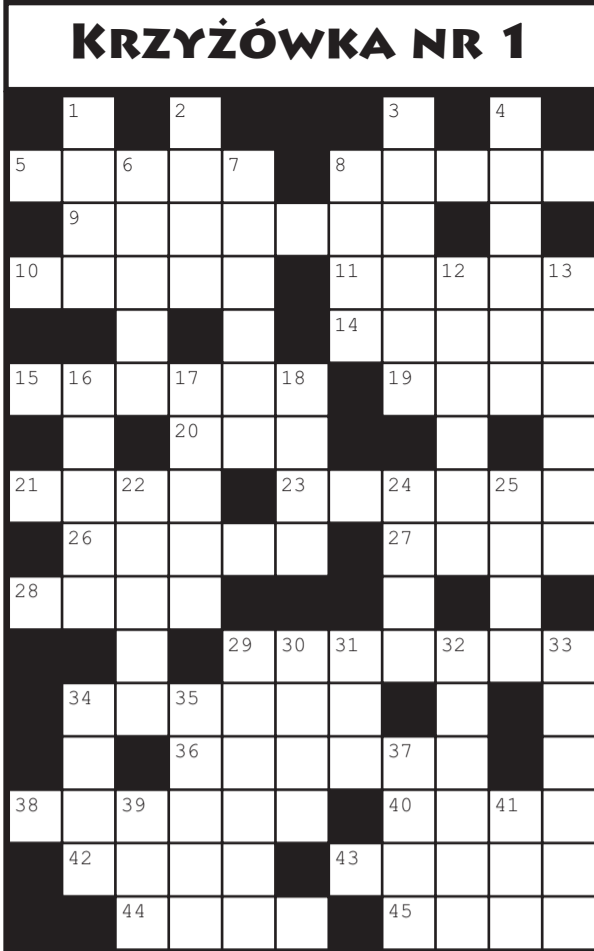
dlapolonii.pl



DLAPOLONII

Poziomo: 5 pokaz na scenie 8 zakaźna choroba wirusowa 9 60 minut 10 widz na trybunie 11 błędny nad bagnem 14 nazwa 15 woźnica 19 szlachecki ród 20 na niej bazie 21 szubrawiec 23 gaz cięższy od powietrza 26 sztuczna skóra 27 Biała ..., czyli zjawa 28 „Zbrodnia i ...” 29 wiejski fartuch 34 zgłoska 36 szkliwo 38 przebywa na czasach 40 sznurek na świecy 42 metal do lutowania 43 pogranicze 44 bezpieczne schronienie 45 składnik ponczu.

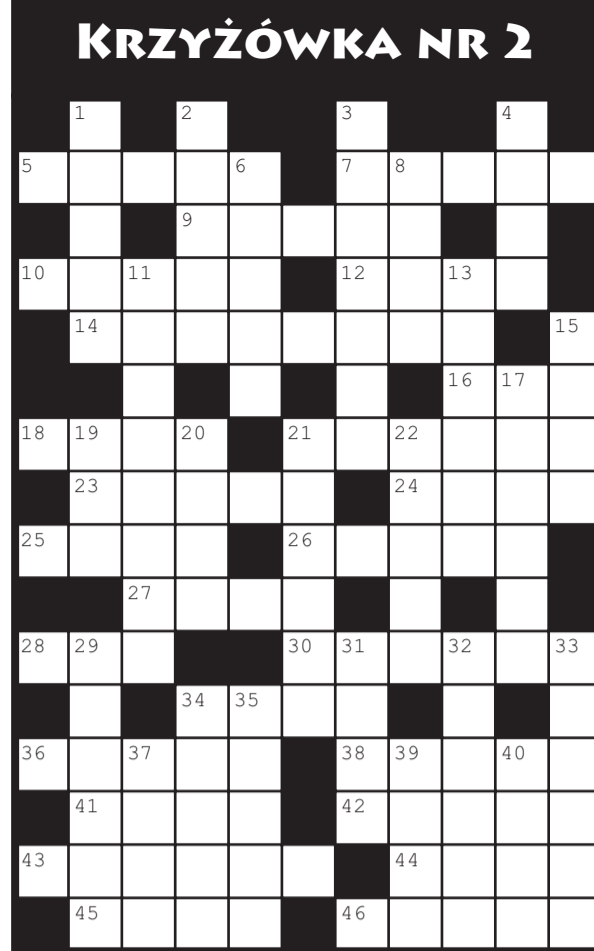
Pionowo: 1 wystawia je ślimak 2 średni rozmiar 3 był nim Eurypides 4 między ceglami w murze 6 powołanie do wojska 7 kwaśny na zupę 8 opiekun kopalni i skarbow 12 przypiepek 13 mięso z siwka 16 piękno 17 wśród darów Trzech Króli 18 zamiast guzika 22 rzymskie łąnie 24 leczniczy zabieg płucny 25 atak szału 29 plan, intencja 30 liczydło Pitagorasa 31 ostry słup 32 czytelnik optyczny 33 cierpi na zaburzenia mowy 34 fachowiec 35 feudum 37 z niej narybek 39 rodzaj, kategoria 41 lata koło nosa.



KRZYŻÓWKA NR 1

Poziomo: 5 kwiat Nilu 7 paranoja 9 matka ojca 10 pęknięcie kącików ust 12 niechęć, uraza 14 torebka na drobiazgi 16 ssak z krętorogich 18 środek nasenny 21 nie prosta 23 spostrzeżenie 24 rasowy ogier 25 wschodni dostojnik 26 efekciarstwo 27 szkic o sztuce 28 po przepiciu 30 wybryk, wyskok 34 chłopski wóz 36 łowny ptak 38 potocznie bójka, kłótnia 41 chrust z lasu 42 sztuczny człowiek 43 soczewka dandysa 44 sieć do przepływu ryb dennych 45 wczesna pora dnia 46 szklany w telewizorze.

Pionowo: 1 nagus 2 niemowlę 3 najemca mieszkania 4 jedna druga myje 6 osad w kominie 8 budynek ze skarbcem 11 iglasty krzew 13 wyszydający utwór 15 jadalny skorupiak 17 szczególnie względy 19 trunek marynarzy 20 groźna mina 21 sprzedaje bilety 22 rezerwa 29 urzędnik sądowy bez nominacji 31 klatka filmowa 32 bławatek 33 „... z siódmej klasy” 34 wzór ubrania 35 uchwyt kubka 37 krewna łasicy 39 muzyka Rolling Stonesów 40 skacze na pochyłe drzewo.



KRZYŻÓWKA NR 2

Redakcja przypomina zainteresowanym, że ostateczny termin nadsyłania materiałów emailom do następnego numeru Tygodnika Polskiego upływa we wtorek 25 czerwca o godz. 18.00. polishweek@optusnet.com.au

Rozwiązanie krzyżówki nr 1 z TP nr 12

Poziomo: 6 lobo 8 patera 10 mors 12 run 13 ardo 14 obuch 16 baca 18 budowa 20 mak 22 zakole 23 doba 24 Mercedes 25 kiwi 26 feta 27 temat 28 garota 31 stos 34 podkop 38 cer 40 bułka 41 beza 42 meta 43 chanat 44 rampa 45 rama.

Pionowo: 1 koma 2 kord 3 karoca 4 menu 5 fach 7 borsuk 9 tuba 11 sobole 15 chabeta 17 awers 18 banita 19 domino 20 modem 21 kasata 23 defekt 29 reduca 30 tłok 32 ocena 33 sezam 35 ober 36 kłam 37 paca 39 rata 41 bar.

Rozwiązanie krzyżówki nr 2 z TP nr 12

Poziomo: 6 figa 8 luba 10 karta 11 omen 13 kota 14 zaloty 16 ruch 18 lewa 19 Hanza 20 frans 22 znak 23 beksa 26 osad 29 erka 31 muł 32 lando 34 solo 35 meta 36 blaga 37 retor 40 papista 44 hossa 47 enter 48 sterta 49 eak 50 mary 51 norma.

Pionowo: 1 sikora 2 haracz 3 ślaz 4 namowa 5 pony 7 gatunek 9 bolero 12 etan 15 alfa 17 hazard 21 sadło 24 ekler 25 senat 27 smog 28 smog 30 kobra 33 ateista 34 sarin 38 opary 39 barka 41 pean 42 ster 43 team 45 osm 46 ser.

Załatwianie spraw w biurze Tygodnika - poniedziałki i piątki w godz. od 10.00 do 13.00

www.tygodnik-polski.com.au

Krotos - rysunek satyryczny



KSIAŻKA TELEFONICZNA

Za jedyne \$132 rocznie (INC. GST) numer Twojego telefonu pojawiać się będzie na naszych łamach przez okrągły rok. Znajdzie go tam tysiące naszych czytelników, a Twoich potencjalnych klientów. Przyślij nam swoje dane do Książki Telefonicznej i czekaj na przekaz pocztowy na \$132. Spółka z Tygodnikiem Polskim to naprawdę bardzo dobry interes!

ADWOKACI

- Pietrzak Ryszard, Kew East, Vic. (03) 9249 9617
- Lily Safarewicz – adwokat, testamenty i prawo matrymonialne Caroline Springs, Vic. (03) 9449 8140
- Malewska & Associates Lawyers, Melbourne (CBD) Mob. 0408 583 950 Free Consultation

AGENCI PODATKOWI

- Henryk Stolarek CPA, Reg. Tax Agent, GST + BAS, pożyczyci henryk.stolarek@bigpond.com.au (03) 9874 4886 Mob. 0438 006 752

AIR CONDITIONING – KLIMATYZACJA

- Montaż systemów chłodzenia: split air conditioning, central ducted cooling, box air conditioning, instalacja i serwis. Pełna licencja. Andrzej Szymański (03) 9705 0804, Mob. 0412 173 145

BUDOWNICTWO

- Firma budowlana ellari HOMES. Mówimy po polsku. Damian Kot mob. 0477528741

DENTYŚCI I PROTETYCY DENTYSTYCZNI

- Protetyk dentystyczny, Bogusław Ring, Carnegie B.H. (03) 9569 1170
- Gabinet dentystyczny dr Chepul A. Camberwell (Vic) (03) 9882 5102, Sunshine (Vic) (03) 9311 1072
- Gabinet dentystyczny – dr Marzena Wojciechowicz 26-30 Waltham St. Sandringham (03) 9521 6996
- Protetyk dentystyczny – 192 Main Road East, St. Albans 3021, (03) 9364 3677

ELEKTRYCY

- Wszelkie usługi elektryczne domowe i przemysłowe, instalacja systemów klimatyzacji. Pełna licencja REC15030 Andrzej Szymański (03) 9705 0804, Mob. 0412 173 145

FOTO WIDEO I AUDIO

- Transfer kaset video, fotografii, filmów super 8mm, etc. na DVD Krzysztof (03) 9887 7197, Mob. 0413 931 274

IMIGRACJA

- Wizy imigracyjne, nauka w Australii. Agent imigr. 0533588 Hannah Malewska info@globalmigration.com.au 0408 583 950 (03) 8682 9256

MUZEUM/ARCHIWUM

- Muzeum i Archiwum Polonii Australijskiej tymczasowo nie jest otwarte dla publiczności. Dalsze informacje 0403 655 044

NOCLEGI

- Hobart – Dom Polski w Hobart, 22–24 New Town Rd., New Town, TAS 7008, polish.association.hobart@gmail.com tel. 0408 298 176 lub (03) 6228 3686

SKLEPY

- Bałtyk Deli, shop 1, 4 Neville Ave. Laverton, duży wybór polskich wędlin i produktów delikatesowych, Dominik (03) 9191 7481

ŚLUBY

- Civil Marriage Celebrant (licencj. urzędnik państwowy) – śluby w języku polskim i angielskim – Zofia Mordes (03) 9503 9409 mob.: 0425 739 168

TŁUMACZE

- Tłumaczenia ustne i pisemne, j.angielski / polski, certfic.NAATI Irena tel. 0420 605 511

USŁUGI OGRODOWE

- Ścinanie, podcinanie drzew, usuwanie korzeni, żywopłoty. Free quotes. Insurance. AH 9737 9947, Jurek : 0409 135 195, Grzegorz: 0419 358 035

ZAKŁAD POGRZEBOWY

- Tobin Brothers (biura czynne 24 godz. w całym Melbourne) Sunshine – Krystyna Popczyk Mob. 0438 355 771

Cóż to była za noc



Barbara Czech z tancerzami Zespołu Pieśni i Tańca POLONEZ



Goście Honorowi

Piękne debutantki i ich przystojni partnerzy, polskie tradycje, zaproszeni goście, w pięknej oprawie Malvern Town Hall. Mówimy o 46. balu polskich debutantek, który odbył się 25 maja w Malvern Town Hall, i już przez lata stał się ikonyczną tradycją polskiego Melbourne. Pierwszy bal odbył się z inicjatywy Zbigniewa Czecha, Prezesa Federacji Polskich Organizacji w Wiktorii, w ramach obchodów 1000-lecia Chrztu Polski w 1966 roku.

Wśród zaproszonych gości byli: The Hon. Natalie Suleyman, The State Labour member for St Albans Minister for veterans, Minister for small business, Minister for Youth, Pan Andrzej Soszyński, Honorowy Konsul Generalny RP w Wiktorii, Pani Urszula Soszyńska, Ks. Mariusz Han SJ, Pani Elżbieta Dzie-

dzic, Prezes Federacji Polskich Organizacji w Wiktorii.

Przygotowanie debutantek i choreografia, Barbara Czech OAM, Kierownik Artystyczny ZPiT „Polonez”; asystowali: Helene Miałzygrosz i Józef Pawlicki; konferansjerka, Veronica Szmyd. Komitet Organizacyjny Balu, Friends of POLONEZ, Zespół Pieśni i Tańca „Polonez” i Federacja Polskich Organizacji w Wiktorii. Wystąpił również Zespół Pieśni i Tańca „Polonez”, z pieśniami i tańcami z regionu łowickiego.

Bal rozpoczął się w wielkiej polskiej tradycji od zatańczzonego przez gości wspólnego poloneza, prowadzonego przez Hon. Konsula Generalnego RP, Andrzeja Soszyńskiego i Barbarę Czech OAM. Następnie nasze osiem par debutantów, z wielką treścią, weszło na



salę wśród hucznych oklasków i starannie zatańczyli poloneza w pięknej choreografii do muzyki Wojciecha Kilara z filmu „Pan Tadeusz”.

Po tym była prezentacja naszych par. Każda para podchodziła oddzielnie do Pani Natalie Suleyman i do Panu Andrzeja Soszyńskiego, składając ukłon, podczas którego odczytywano ich imię i nazwisko.

Po prezentacji debutantki i ich partnerzy wykonali walc wiedeński. Na koniec nasza młodzież podziękowała swoim rodzicom i przyjaciołom, zapraszając ich do odtańczenia specjalnego walca. To jest zawsze bardzo wzruszający moment, wyciskający wiele łez, kiedy widzimy, jak dumni rodzice tańczą z młodzieżą.

Oczywiście było podziękowania, kwiaty, przemowy i na zakończenie huczne „Sto lat” dla naszej pięknej młodzieży, zaśpiewane przez publiczność do entuzjastycznego akompaniamentu orkiestry Kamila Rawdanowicza, StolenStopSigns.

A później zaczęła się zabawa i szaleństwo przy dźwiękach orkiestry. Chyba ulubionym momentem wieczoru był utwór „Hej Sokoły”, do którego wszyscy się przyłączyli, śpiewali, tańczyli, popisywali się, a orkiestra spisała się znakomicie. Partner jednej z debutantek, napisał w swoim podziękowaniu: „Tak dobrze się bawiłem, że straciłem głos, nie mogło być lepiej”. To dopiero był bal!!

Barbara Czech OAM
Fot. B. Czech i B. Plątek

Polskie Debutantki 2024

Marysia Babula - Michał Flis
Alicja Badzaj - Łukasz Wojton
Lena Blaszkowska - Kamil Rawdanowicz
Maya Drohomirecka - Declan Lawton
Rebecca Peszek - Jzustyn Starc
Stephanie Peszek - Anton Blaszkowski
Aniela Rawdanowicz - Joshua Urbaniak
Hania Szczukutowicz - Gabriel Mckeon

